„ŁYKI“ I „KOŁTUNY“

„ŁYKI" I „KOŁTUNY"

Pamiętnik mieszczanina podlaskiego

(1790—1816)

Wydał z rękopisu, przypiskami i wstępem opatrzył

Kazimierz Bartoszewicz

KRAKÓW ○ NAKŁAD KSIĘGARNI J. CZERNECKIEGO
DAWNIEJ KSIĘGARNIA SPÓŁKI WYDAWNICZEJ POLSKIEJ
WARSZAWA ○ KSIĘGARNIA M. ARCTA (NOWY ŚWIAT)

Pow. i Miejska Biblioteka Publiczna w Białej Podlaskiej
72639

REFERENCJA

Miejska Biblioteka Publiczna
Biała Podlaska
5 118324000004

DRUKARNIA LUDOWA W KRAKOWIE

Miasto Bielsk leży w części Podlasia, przyłączonej do gubernii grodzieńskiej, w pobliżu puszczy białowieskiej, o kilka mil od granicy Królestwa polskiego. Starożytna to osada ziemi niegdyś Jadźwingów. Latopiscy wspominają o niej już pod r. 1253. Władysław Jagiełło nadał w r. 1391 Bielsk, Drohiczyn, Suraż i Mielnik Janowi Ks. Mazowieckiemu (Kodeks dyplomatyczny mazowiecki). Witołd nadał Bielskowi prawo magdeburskie (1430). Na sejmie w Bielsku w r. 1564 toczyły się układy o unję, która stanęła w roku 1569. Na pięć miesięcy przed tym wielkim faktem dziejowym Zygmunt August wcielił Podlasie do Korony (5 marca 1569). Od tej chwili, aż do upadku Polski, Bielsk należał do województwa podlaskiego. Upadał wciąż od roku 1664, w którym został spalony i splondrowany. Za Kościuszki była w nim główna kwatera korpusu ks. Franciszka Sapiehy. Po rozbiorach znalazł się pod panowaniem pruskiem, a w r. 1807 przeszedł pod panowanie rosyjskie [1]).

---

[1]) O Bielsku bliższe szczegóły w Starożytnej Polsce w „Źródłach dziejowych" (Podlasie Al. Jabłonowskiego) i Słowniku geograficznym. W bibliografji Finkla podano kilkanaście innych źródeł do historji Bielska, przyczem popełniono sporo niedokładności. Tak np. zanotowano List z Bielska J. Jaroszewicza (Bibl. Warsz. 1845), w którym to liście niema ani słowa o Bielsku, oraz artykuł K. Wł. Wójcickiego „Sala w Bielsku"

W Bielsku urodził się w r. 1793 Józef Jaroszewicz prof. liceum krzemienieckiego, a następnie uniwersytetu wileńskiego, autor „Obrazu Litwy“ i wielu innych prac naukowych. Po zamknięciu uniwersytetu wileńskiego, powrócił do Bielska, gdzie zmarł w r. 1860. Posiadam jego list (bez daty) pisany około r. 1832—3 do Ignacego Daniłowicza, w którym to liście pisze między innemi:

„Przeglądając archiwum miasta Bielska, ważną rzecz znalazłem. Ojciec mój, po zaborze kraju przez Prusaków, sporządził zbiór przywilejów, dekretów, lustracyi, plebiscytów i t. d. z oryginałów lub autentycznych kopii i cały ten kodeks pięknie przepisany ofiarował w przedmowie Magistratowi. Przywileje zaczynają się od lokacyjnego przywileju Witołda 1430 i idą koleją królów aż do Stanisława Augusta. Cały ten zbiór tyleż ważny do historyi miast naszych co Dubieńskiego, wart był druku, ale o tem ani myśleć. Będzie o tym kodeksie wzmianka w III. części „Znicza“.

W Bielsku koło r. 1775 ujrzał światło dzienne i pan Roch Sikorski, autor niniejszego pamiętnika.

(Kłosy, VII.), w którym jest mowa o sali zamkowej nie w Bielsku, lecz w Biale Radziwiłłowskiej. Również cytuje Finkel opis miasta Bielska w Bibl. W. 1867 i 1868 ale to znów... trzecia omyłka, bo takiego opisu nie znalazłem. Wreszcie czytamy, że w Gazecie Warszawskiej 1854 nr. 180 jest artykuł o fundacyi kościoła w Bielsku, a tymczasem znajdujemy tam artykulik o jakimś nieistniejącym monastyrze, w którym to artykuliku wspomniano, że ks. Włodzimierz „był dobrodziejem kościołów w Bielsku“ — oto i wszystko.

Pochodził, jak zapewnia, z rodziny szlacheckiej, która zbiedniawszy, zasiliła stan mieszczański. Dzieckiem stracił ojca, matka wyszła zamąż po raz drugi, również za mieszczanina, pochodzącego z drobnej szlachty. Dziejów jego lat dziecinnych nie znamy, gdyż zaginął pierwszy arkusz jego pamiętnika. Dowiadujemy się jedynie z dalszego opowiadania, że uczył się alwara. Ale nauka została przerwana w r. 1790. Pa Roch coś zbroił, coś przeskrobał, wskutek czego ojczym jego doznał „gorzkiej przygody“ i postanowił oddać go za karę do kowala. Przedtem jednak zwołał na naradę grono swych przyjaciół. Co wynikło z narady dowiemy się już z pamiętnika.

Pamiętnik ten nie dorzuca do historyi nowych faktów, a mimo to (tak mi się przynajmniej wydaje) jest wielce interesujący, jako barwna, żywa kartka z obrazu życia mieszczaństwa polskiego i drobnej szlachty na Podlasiu z końca XVIII i początku XIX wieku. Podlasie bowiem, to klasyczna ziemia tej drobnej szlachty „chodaczkowej“, „zaściankowej“, „szaraczkowej“, „zagrodowej“, „okolicznej“, którą Mickiewicz tak plastycznie odmalował w Panu Tadeuszu. Za naszych czasów (koło r. 1880) na 630 wsi dawnej ziemi bielskiej było 460 zamieszkałych przez drobną szlachtę, od ludu i małomieszczan niewiele się różniącą, a której liczbę na 60.000 podawano. W samym herbarzu Kapicy-Milewskiego znajdujemy 160 „domów szlacheckich“ ziemi lubelskiej, a Zygmunt Gloger twierdzi, że jest ich dwieście kilkadziesiąt.

Były wsie, których wszyscy mieszkańcy nosili

jednakowe nazwisko — było nawet po kilka wsi tejże samej nazwy z odmianami, zamieszkałych przeważnie przez jeden „dom“ szlachecki.

By rozeznać się wśród takiej mieszaniny,
Brali różna przydomki, od jakiej zalety
Lub wady, tak mężczyźni jako i kobiety.
Mężczyznom czasem kilka dawano przydomków,
Na znak pogardy, albo szacunku współziomków;
Czasem jedenże szlachctc inaczej w Dobrzynie,
A pod innem nazwiskiem u sąsiadów słynie.
Dobrzyńskich naśladując, inna szlachta bliska
Brała również przydomki, zwane „imioniska“.
Teraz ich każda prawie używa rodzina,
A rzadki wie, iż mają początek z Dobrzyna.
I były tam potrzebne — kiedy w reszcie kraju
Głupiem naśladownictwem weszły do zwyczaju.
(Pan Tadeusz).

Przydomki te bywały nieraz śmieszne lub niezbyt zaszczytne, jak n. p. Gąsiorek, Kiernozek, Broda, Piechota, Kreska, Żabka, Kopeć, Wałach. Rodziny Pogorzelskich znamy cztery przydomki: Poszewka, Bućko, Marzyk i Polak. Byli Sikorscy Reje, Sikorscy Śmietany, Sikorscy Śledzie, Sikorscy Tatki. Byli Pierdany Kobylińscy i Pietrzykowie Kobylińscy. Znamy Kempistów Średnickich, Objadło-Żebrowskich i t. d. [1]).

Wiemy już z „Pana Tadeusza“, że te przydomki, które dla odróżnienia sama drobna szlachta przybierała, lub któremi ją obdarzano, „głupiem naśla-

[1]) Z. Gloger. Dawna ziemia bielska i jej cząstkowa szlachta. Bibl. warszawska, 1873, III, 243.

downictwem“ weszły do kraju. Ale stała się z czasem rzecz jeszcze zabawniejsza. Rozrzuceni dziś po całej ziemi polskiej potomkowie drobnej szlachty, starają się tymi przydomkami imponować; coraz częściej spotykamy się z niemi w nekrologach, ogłoszeniach ślubnych i t. p. To, co dowodzi pochodzenia z nizin szlacheckich, ma w naiwnem mniemaniu świadczyć o starożytności i znaczeniu rodu.

Dodać jednak należy, że z tej drobnej szlachty, wyrastały i rody magnackie. Tak n. p. Rzewuscy pochodzą ze wsi Rzewuski i Beydy, czy Bejły, ztąd to Henryk Rzewuski używał pseudonimu Bejła. Z drobiazgu Rzewuskich, którzy do dziś dnia zamieszkują wieś Rzewuski małe, wyszedł za naszych czasów przezacny biskup Paweł Rzewuski, administrator dyecezyi warszawskiej po wywiezieniu arcybiskupa Felińskiego, odważny obrońca praw kościoła i narodu, sam też później wygnaniec [1]).

Z zaścianka wyszli i Pułascy. Chudopachołkiem urodził się na dawnej ziemi bielskiej w Kostrach-Pułaziu (było kilka Kostrów) pod Wysokiem Mazowieckiem i Ciechanowcem, pan Józef na Pułaziu i t. d. Pułaski, pisarz nadworny koronny, starosta warecki, strzemecki i t. d., marszałek związkowy konfederacyi barskiej, ojciec głośnego Kazimierza, który w Ameryce „countem“ się tytułował [2]). Owo

---

[1]) Życiorys jego wydałem w osobnej broszurze.

[2]) Gaszyński w „Reszcie pamiętników“ Macieja Rogowskiego pisze: „pozwoliliśmy się tytułować“, co Korzon biorąc na seryo, mocno gani Pułaskiemu (Kościuszko 137). Nie trzeba było tu jednak udzielać „pozwolenia“ Amerykanom, bo posia-

„na Pułaziu“ zabawnie wygląda wobec tego, że na Kostrach-Pułaziu siedziało w r. 1775 aż 19 właścicieli.

Ale wracajmy do p. Rocha i jego pamiętnika. Pan Roch dużo przeżył i dużo widział. Szedł bronić ojczyzny w r. 1792, był w niewoli rosyjskiej, patrzał na rządy pruskie po ostatnim rozbiorze, żył nadziejami napoleońskiemi, był „głową“ Bielska w roku 1812. Nie odgrywał wprawdzie w wypadkach roli wybitnej, ale dobrze obserwował szczegóły, nastroje...

Pamiętnik to przeważnie osobisty, lecz to nie zmniejsza jego wartości. Owszem z zaciekawieniem śledzimy, jak p. Roch wychodził na człowieka, jak wzrastał w zamożność i zaufanie współobywateli, jak odbywał „konkury“... Narrator z niego niepośledni — umie wlać życie do swego opowiadania, umie je zabarwić pogodnym humorem.

Interesują go dzieje miasteczka i ziemi bielskiej. Jest i folklorystą, bo notuje zwyczaje i przesądy ludowe, przytacza wyjątki z pieśni gminnych.

Wreszcie wartość jego pamiętnika i to podnosi, że przekazał nam zgodne współżycie Polaków i Białorusinów, ludności trzech obrządków: katolickiego, unickiego i prawosławnego, uważającej się za dzieci jednej ojczyzny... Wzajemne „przekomarzania się“, należy uważać za wyjątek stwierdzający regułę.

---

dam list Pułaskiego, jeszcze przed wyjazdem do Ameryki pisany do siostry kanoniczki w Warszawie, a zaadresowany: „A madame la comtesse de Pułaska“.

Pamiętnik p. Rocha powstał, o ile z kilku wzmianek dojść można, między r. 1820 a 1825. Jedynie rozdział drugi, o Podlasiu i Bielsku, został później napisany i do pamiętnika włączony.

Pan Roch nie był literatem, starałem się więc język i styl jego poprawić, ale tylko „z grubsza“, aby nie zatracić ich właściwości. Stąd zostawiłem nieco zwrotów, wyrażeń, a nawet nazw wprawdzie niecałkiem poprawnych, ale używanych za czasów p. Rocha.

Kazimierz Bartoszewicz.

I.

Początki praktyki handlowej p. Rocha. — Jego stosunki rodzinne. — Wspólnicy. — Część Podlasia przechodzi pod panowanie pruskie.

[1]) ... prowadził, a czasami nie ubliżał bynajmniej klejnotowi szlachectwa, kiedy komenderował nierogacizną, skupowaną po jarmarkach okolicznych, dla wprowadzenia jej na świat wielki warszawski. Zapewniając, żem chłopak łebski, wziął mnie pod swoją opiekę.

— Muszę bowiem waćpanom powiedzieć — mówił Niwiński — dlaczego ja tego chłopaka polubiłem i uznałem go za łebskiego. Kiedym wyjeżdżał na przyległą Litwę na dni kilka, za pozwoleniem matki wziąłem chłopaka w celu kupna chmielu, boć człowiekowi weselej, jak ma do kogo zagadnąć — i dobrze czasem dopilnuje taki wyrostek towaru, jak się człowiek spotka z przyjacielem w karczmie, na drodze, lub w miasteczku. Miałem, mości sąsiedzi, wózek niewielki, a parę szkap; powoził Hryć,

---

[1]) Od tych słów zaczyna się drugi arkusz rękopisu pamiętnika. Prawdopodobnie początek zdania brzmiał: „Pan Niwiński handel chmielem do Warszawy prowadził, a czasami“ i t. d.
K. B.

niedawno przyjęty do koni. Kiedym blisko tydzień tak jeździł do miasteczek, do wsi i do okolic [1]) uważałem, że mi konie wielce pochudły, chociaż zrywałem się wśród nocy i uchyliwszy drzwi od stajni, wołałem na Hrycia, aby zasypywał obrok. Słyszałem, jak Hryć wstawał, wołał na konie: „nu, nastąp się ty kary, nu nastąp ty siwy“ — a tymczasem konie chudły. Otóż tedy Rosio wysunął się aż do wozu, żeby się bliżej przekonać, co Hryć robi. Naraz słyszę, że Hryć krzyknął, bo go Rosio kijem zwalił. Cóż się pokazało? Oto Hryć włożył w wózek deskę pod nogi, a kiedy wołał na konie, to nie był u żłoba, ale podkówkami uderzał o deskę, nie ruszając się z miejsca. Koniom obroku nie dawał, tylko go przepijał. Podobała mi się zabiegłość Rosia, że wykrył fortel Hrycia, dlatego sądzę, że mi w handlu pomocny będzie.

Podobało się to opowiadanie Niwińskiego szlachcie i jednomyślnością zgodzili się, aby mnie zamiast do niegodnego dla szlachcica rzemiosła, oddać do zatrudnienia szlacheckiego w pędzeniu do Warszawy wieprzy, lub w handlu chmielem, boć chmiel, to rzecz szlachecka, używa się go do warzenia piwa i od wieków mawiano: „chłopska jeść, a pańska pić“.

Bez żadnego opóźnienia wykonano wyrok. Oddano mnie bez wiedzy nawet matki nowemu opiekunowi. Niebawem wyładowano 20 wozów chmielu. Składano go w ogromne wańtuchy; jeden wańtuch

---

[1]) „Okolicami“ zwano osady, składające się z zaścianków szlacheckich. K. B.

zapełniał wóz cały. Wozy były bose i trzy razem, jeden za drugim zaczepione, ciągnęła para koni. U spodu drabiastego wozu, był jakby stopień od powozu, rodzaj drabinki, na której z jednej strony leżał obrok, a z drugiej worek z kilkudziesięciu funtami chmielu jakby dodatku, i z tego była niejako gratyfikacya dla furmana. Dano mi zaraz parę koni do powożenia aż do Warszawy. Wystawić sobie łatwo jak byłem szczęśliwy, że zobaczę tę stolicę, o której słyszałem opowiadania jakby z tysiąca nocy...

Zbliżając się do Warszawy we czwartek rano, zatrzymaliśmy się na Pradze. P. Niwiński, jadący przodem jednokonnym wózkiem, wyprzedził nas i ledwo stanęliśmy, już piwowar przybył, chmiel został natychmiast sprzedany i złożony do magazynu. Nazajutrz na targu sprzedano konie i wozy, a jeszcze tego dnia gospodarz nasz zabrał pakunki do Bielska i wtenczas, ktedy cała moja dusza była w oczach dla oglądania owej cudownej Warszawy, kazano nam siadać na wóz i nazad wracać. Małom nie płakał na tak okropny zawód mej ciekawości, ale przypomniało mi się przysłowie ruskie: „skaczy wraże, jak Pan każe".

Zdawało mi się, że tam wszystko co żyje musi być szczęśliwe, a niestety następnie przekonałem się, że szczęście nie idzie ani z wielkością ani za bogactwem, a w chacie wiejskiej częściej mieszka niż w pysznym pałacu. Słusznie powiadają: „ten szczęśliw zdaniem mojem, kto przestał na swojem".

W podróży do Warszawy, dlatego, żem z po-

czątku niewprawnie furmanił, nieraz ofuknięty zostałem. Ale zdarzyło się, że oś w wozie, który mnie wyprzedzał zapaliła się. Zaczęto ratować: polewano wodą, smarowano często, ale zagrażało zapalenie. Podałem wówczas moją radę, aby zmienić koła, bo może oś tu była grubsza. Śmiano się z początku z mej rady, ale nakoniec jej usłuchano. Jakoż istotnie, kiedy koła zmieniono, przekonano się, że dzwona nie były zupełnie równe, i że na grubszą oś zasadzono koło z węższem dzwonem. Ustała przyczyna tarcia i dalej ogień nie groził. Ta moja rada zasłużyła na pochwałę i odtąd zacząłem być w lepszem poważaniu.

Jednakże podróż moja do Pragi, nie była zupełnie bez korzyści. Przy sprzedaży koni, do czego jako lekki i zwinny za berejtera użyty byłem, przysłuchiwałem się pilnie uwagom kupujących. Wytykano wady koni, mój pan wykazywał ich zalety. Byłem świadkiem sporu o lata końskie, zarzucano bowiem piłowanie zębów. W ten sposób zacząłem obznajmiać się z zaletami koni. Chłopcy wogóle konie lubią, a przytem gdym sobie przypomniał, że przed moją katastrofą kazano mi uczyć się początków łacińskiego języka z alwara, przyczem nieraz miało miejsce kropienie, tem większy uczułem popęd do koni, a nawet i do furmaństwa.

Od tego czasu kilka razy odwiedzaliśmy Warszawę, to z chmielem, to z kożuszkami, to z cebulą, a zimą nieraz wyładowanemi saniami zwoziliśmy do niej zwierzynę, szczególnie zające i kuropatwy. Handlowaliśmy też konopiami, skupowanemi w przy-

ległej Litwie. Czasami zdarzało mi się być jednym z dowódzców rozbiegających się gęsi, albo upartych i leniwych wieprzy; wkrótce nauczyłem się taktyki i kampanie do Warszawy udawały się szczęśliwie. Ale p. Niwiński nie był wielkim przyjacielem Warszawy, uciekał jak mógł rychło na Podlasie, tak że nigdy nie mogłem poznać stolicy, a mając bardzo mało czasu do gapiologii, zaledwie poznać mogłem kilka ulic i zwiedzić kilka kościołów. Raz o małom gęsiemu legionowi szkody nie zrobił, gdy słyszałem, jak wołano: „król jedzie“, — ale ledwiem spojrzał, powóz się mignął i kurz unoszący się za pojazdem zakrył mi świtę całą. Przestraszone gęsi szykować musiałem, będąc traktowany za gapia przez współkomendantów [1]).

Tak przeszło dwa lata w ciągłych prawie podróżach przy zabiegłym szlachcicu, który nieraz musiał gryźć wargi, gdy mu zazdrośni sąsiedzi nie szczędzili przydomków, szczególniej z powodu handlu upartą „piechotą“. Liczyłem podówczas szesnasty rok życia, byłem krzepki na moje lata, a moja sprężystość i wesołość były powodem, że miałem szczególne łaski u pryncypała, a koledzy i znajomi tak mnie lubili, że nie miałem innej nazwy, jak Rosia Chwata.

Pomimo wszakże względów pryncypała, bardzo szczupłe miałem zaopatrzenie. Często bywaliśmy w Bielsku, więc też, o ile mi tylko czas pozwalał, odwiedzałem moją matkę, pomimo, że ojczym do-

---

[1]) Było to w r. 1790. K. B.

Biblioteka Publiczna w Białej Podlaskiej

znawszy z mojej (jak powiadał) przyczyny, gorzkiej przygody, zawsze mnie zimno i z ofuknięciem przyjmował. Matka zaś, lubo na jej powiece nieraz łzy dopatrzyłem, nigdy mnie się nie spytała, czy mi czego nie brakuje i nie śmiała mi nawet okazać tej macierzyńskiej miłosci, która napawała taką rozkoszą. Postałem trochę przy progu, poskubałem czapkę, którą w ręku na rozmaite strony obracałem, poopędzałem się przyrodnim braciszkom i wychodziłem spłakany, ze ściśnionem sercem, lubo wiedziałem, jaka obojętności matki była przyczyna. Mąż był do tego stopnia wówczas panem domu, że żona nawet usiąść przy stole bez pozwolenia jego nie mogła. Na głos pana wszystko w domu drżało. Jeszcze podówczas syn nawet pod wąsem, traktowany był bardzo surowo i nie śmiał się wyswobodzić z pod ostrej władzy rodziców. Kiedy pan gromkim głosem zawołał: „Anusiu!“ ta dziecko trzymane na łonie rzucała, i biegła na jego głos, jakby niewolnicą była. Dzieci drżały jak liście, przy obecności ojca nie śmiejąc się ruszyć swobodnie.

Dziwna rzecz, że przy ogólnej instytucyi krajowej, tyle swobód dającej, władza rodzicielska tak była absolutna. Znalazłem później akt jeden przed magistratem zdziałany, w którym było między innemi wyrażono: „Stosując się do rozkazu mego męża, pana i dobrodzieja, ceduję sumę“ i t. d.

Miałem wuja, mieszkającego w Bielsku, i ten był kowalem. Uboga chatka jego była zawsze i w późniejszym czasie dla mnie przytułkiem. Kiedy

zapłakany z domu matki udawałem się do niego, ostatkiem się ze mną dzielił, lubo wina, jak mój ojczym nazywał, i na niego padała.

Ale niespodziewanie los mój uległ zmianie. Nastąpiły smutne lata[1]). Wielkie było zamieszanie w kraju. Byłem wówczas młodzieńcem, poszedłem wraz z innymi, lecz wkońcu ranny i wzięty do niewoli, zapędzony zostałem do Chersońskiej gubernii[2]). Po kilku miesiącach przebywania w szpitalu, oddano mnie do usług oficera od huzarów. Właśnie oficer ten jeździł za remontem do kawaleryi, więc miałem pole do zostania znawcą koni. W roku 1794 pułk, do którego należał, zbliżył się do granic dzisiejszego Królestwa Polskiego. Nie mogłem przezwyciężyć tęsknoty do stron rodzinnych, uprosiłem więc oficera, że mnie uwolnił i z powodu, że mnie polubił (jak mówił) darował mi zranionego kulą konia. Rana nie groziła kalectwem, starannie go pielęgnowałem, a gdym przybył do rodzinnego miasta, przytulony przez wuja, dopasłem mego rumaka, sprzedałem korzystnie i od tej pory zacząłem handlować końmi.

Gdy wkrótce zostałem pełnoletnim, oddał mi ojczym pozostały po ojcu domek i parę włók gruntu. Otworzyłem sobie kredyt, zacząłem skupować ko-

---

[1]) Targowica i drugi podział. K. B.

[2]) Szczegół drobny, ale ważny, dowodzi bowiem, iż w r. 1792 formowały się oddziały ochotnicze, o czem nie spotykaliśmy dotąd wzmianki. Wiadomo było tylko że oboźny Prozor nosił się z myślą utworzenia takiego „oddzialiku“ (Dubiecki). K. B.

nie, odpasałem je, sprzedawałem i mało po mału handel mój przybierał coraz znaczniejsze rozmiary.

Miasto Bielsk ma sześć wiosek nadanych mu do oczyszczania ze śmieci miasta, do dostarczania podwód i stróży dla władz miejskich. Mieszkańcy ich niechętnie nazywają się włościanami, ale przedmieszczanami. Jest to lud wolny od dawna, pracowity i zabiegły. Jedna szczególniej wieś Augustów, zaludniona przez wychodźców rosyjskich [1]), jest najprzemyślniejsza i najbogatsza. Syn jednego z zamożniejszych gospodarzy Petro, krzepki i przemyślny, tak potrafił mnie ująć, że przyjąłem go do małego udziału w moim handlu, i przez całe życie, chociaż później postarzeliśmy się obydwa, nie miałem zdrowiej doradzającego i wierniejszego przyjaciela.

Drugim przyjacielem moim był młody z okolicy szlachcic Sobolewski; ten nie był ani rzutkim, ani zabiegłym, ale był pracowity i nader oszczędny, grosza nierad popuszczał. Takie miałem u niego zaufanie, że mi ostatni grosz zawsze oddawał, a ja z każdego zysku robiłem mu benefis, tak, że mało po mału zbierając, doszedł w następstwie do znacznego majątku. Jako pośredni stanem, wpłynąłem na to, że przeciw wszelkim przesądom nasza trójka była nierozłączoną i skupiała w sobie trzy klasy: szlachcica, mieszczanina i włościanina.

Ale każdy zachował oddzielny charakter: Sobolewski, domator w okolicy, pomagał do pomyślności, Petro nie chcąc nigdy wychodzić ze swego

---

[1]) O tej „emigracyi" podaje pamiętnikarz szczegóły w jednym z dalszych rozdziałów. K. B.

stanu, zdrową radą i bystrością powstrzymywał mnie od ryzyka czasem zgubnego, a ja rzutki, ruszający się i przebiegły, starałem się coraz dalej rozszerzać mój handel, który mnie nie długo postawił na stopie dostatniego mieszczanina.

W roku 1795, po ostatnim rozbiorze Polski, Bielsk ze znaczną częścią Podlasia dostał się pod panowanie pruskie a prawie o dwie mil dalej już była granica prowincyi litewskich, wcielonych do cesarstwa rosyjskiego [1]).

Zdawało się z początku, że to rozgraniczenie zrobi nam wielką szkodę materyalną, ale poprzednie stosunki z mieszkańcami, odciętymi granicą, która ciągnęła się ponad sławną Puszczą Białowieską, ułatwiły porozumienie się z kozakami strzegącymi granic. Pomogły nam do tego i inne okoliczności: mnie znajomość ich języka, nabyta w niewoli, a Petrowi wspólność religijna, bo był greckiego wyznania. Tak więc, co nam zdawało się przeszkodą w interesach, stało się źródłem naszej pomyślności; nieraz bowiem, kiedy przy pieczonych rydzach i krupniku śpiewaliśmy i pląsy wyprawiali z uradowanem kozactwem, w tymże czasie nasz milczący i potulny Sobolewski przemycał konie niedozwolone do przeprowadzenia przez granicę i które, tanio nabyte, a zdatne do kawaleryi, zbywaliśmy w pruskim wówczas kraju z dobrym zyskiem. Naj-

---

[1]) Bielsk należał do departamentu białostockiego Prus „nowo-wschodnich" (Neu-Ost-Preussen), który się składał z części Podlasia, Żmudzi, województwa trockiego i Mazowsza.

K. B.

bardziej nam pomagali dawni nasi współuczestnicy biesiad młodzieńczych, strażnicy w Puszczy Białowieskiej i leśniczy straży bielskiej Iwan Holonko. Bielsk bowiem miał nadaną sobie znaczną przestrzeń lasu, którego osada składała się z kilku włościan wolnych, których przełożonym był wspomniany Holonko, bardzo zamożny i słynny ze swego krupniku, to jest wódki pod szpontem ugotowanej z miodem i pieprzem. Tak sformowany oddzielny trunek, jako narodowy więcej nam smakował niż poncz, którym delektowali się oficerowie huzarów pruskich, konsystujący w Bielsku, jakoteż całe biuro landrata Melerskiego, który swoją słodyczą i tolerancyą na rozmaite dokuczania Niemcom, pozostawił miłe wspomnienie po ustaniu rządów pruskich. Ten krupnik Holonki miał wielkich zwolenników w kozakach i biesiady nasze bardzo często się powtarzały, a kiedyśmy się podochocili, śpiewaliśmy zupełnie miejscową pieśń:

Ja Iwan, ja pan.
Nasza wolka, nasza wola

— i dalej już nie pamiętam.

Prusacy podówczas organizowali swoją kawaleryę do wojny z Francyą, a ponieważ nasze konie wybornie się nadawały do remonty, przeto zysk nasz był pewny i przy zabiegach i znajomości koni handel nasz szedł korzystnie. Pomimo jednak, że Prusacy i talarami swymi nas zasycali i w ogólności za ich rządów wartość dóbr i cena produktów podwyższyły się znacznie, nie mogliśmy się nigdy

do nich przyzwyczaić i częste zajścia i częstsze figle im płatane, były dla nas rozkoszą. Ta nieszczęśliwa mania zaprowadzania niemieckiego języka do wszystkich aktów urzędowych, drażniła nas nieustannie, tak, że zazdrościliśmy Litwinom, którym i dawne prawa i dawny nasz język pod panowaniem rosyjskiem zachowano — a nawet sam język rosyjski, jako zbliżony do rusińskiego, który posiadałem dobrze i zrozumiały po większej części, był nam milszy niż ten, który przypominał żargon żydowski.

II.

Podlasie. — Bielsk. — Ludność i jej zwyczaje.

A że ciekawie słuchałem opowiadań wielu ludzi uczonych o ziemi podlaskiej, której jakby stolicą był Bielsk, rodzinne gniazdo moje, nadto bacząc, że nawet potrzebne jest objaśnienie o Bielsku i Podlasiu, abym sam był lepiej zrozumiany, przeto opis taki, jaki od uczonego Kapicy otrzymałem, zamieszczam z małemi odmianami [1]).

Powiadają, że ziemia podlaska była niegdyś zaludniona przez lud bitny, podobno zbliżony do szczepu litewskiego, który się zwał Jadźwingami. Mówią, że kiedy barbarzyńcy od Północy i Wschodu napadli na państwo rzymskie, to ludy te składały się z tysiącznych narodów. Te co nie mogły się usadowić na Zachodzie, albo już też rozdzieliły się

---

[1]) Ignacy Kapica Milewski ur. w r. 1763 w Żędzianach pod Tykocinem, podczaszy trembowelski, potem „wiceregent ziemski i archiwum szlacheckiego brańskiego przysięgły archiwaryusz". Nazywano go „żywą księgą tradycyi". Jako archiwista położył nieocenione zasługi. Współcześni mówią, że „wiedzą swą wprawiał w osłupienie". Umarł w r. 1817. O nim w Bibl. Warsz. 1848, V, w artykule Wiktora Ossolińskiego „Wspomnienia z Podlasia", oraz w przedmowie Zygmunta Glogera do wydanego w r. 1870 „Herbarza Ignacego Kapicy Milewskiego". K. B.

przez włóczęgę, wracały nazad na Wschód i jedno z takich wałęsających się pokoleń osiadło między Bugiem a Narwią, tam gdzie główniejsze miasta Drohiczyn i Bielsk. Lud to był waleczny i najczęściej piechotą walczył, chętnie dał się zabijać, a nie ustępował z placu. Popychany często przez Litwę, a później zasmakowawszy w zaborach, napadał na Polskę, ale ostateczny mu cios zadał Bolesław Wstydliwy koło 1264. Cała ta kraina stała się tem bardziej bezludną, że była przez Tatarów łupiona, i wskutek wzajemnych najazdów między Litwą a Polską do szczętu wyniszczona [1]).

Kiedy następnie Litwa rozszerzyła zabory swe na Białej Rusi, ziemia ta dostała się pod jej panowanie. Główny zamek Drohiczyn, w nieznanej epoce założony, dostał się do Litwy, wraz z całą ziemią podlaską. Następnie niejednokrotnie zajmowaną była przez Książąt Mazowieckich. Kiedy zaś Władysław Jagiełło zaszczycony został koroną polską, ziemia ta zaczęła doświadczać wytchnienia. Litwa obsadziła ludem ruskim wsie, a z Mazowsza szlachta, pod obowiązkiem służenia wojskowo, otrzymywała nadania włók, na których rozgałęzione rodziny dzieliły się bez końca. Ztąd potworzyły się wsie „okolicami“ zwane.

Przez unią ostateczną Litwy z Polską, Podlasie składające się z ziem: Mielnickiej, Drohickiej i Bielskiej, z których ziemia Bielska miała trzy powiaty,

---

[1]) Właściwie wytępienia Jadźwinów dokonał Leszek Czarny 1282 r. K. B.

Brański, Suraski (Suraż) i Tykociński, do Korony przyłączone zostało, ponieważ w miastach przeważała ludność polska, a w całym tym kraiku mieszkańcy są Polacy i Rusini. Podlasie głosowało na elekcyach zaraz po województwie Mazowieckiem. W powiecie Tykocińskim, dawnej ziemi Drohickiej i Mielnickiej, albo sami Polacy mieszkają, albo w znacznej większości, a w Bielskim, Suraskim i Brańskim przeważała ludność ruska.

Dziwna jest rzecz, że miasto Bielsk, które jest największe na Podlasiu, nie było stolicą województwa. Białystok, który był za Prus stolicą Regencyi, a pod panowaniem rosyjskiem do r. 1846 rządu gubernialnego, jest nowej kreacyi Branickiego, kasztelana krakowskiego, nie może się przeto liczyć do miast starożytnych [1]).

Ślady wykazują, że Bielsk był niegdyś daleko większem miastem, o czem świadczą bruki, które w każdą stronę można na półwiorsty liczyć, a przez to w przybliżeniu wnosić można, że Bielsk, który obecnie około 2.000 ludności liczy, mógł jej mieć dwa razy prawie tyle. Ludność musiała się wzmagać, aż do końca panowania Władysława IV, a klęska, która i Bielsk i wiele miast i wsi w tych stronach wyniszczyła, zapewne przez najazd Szwedów za Jana Kazimierza nastąpiła. Odtąd coraz wzma-

---

[1]) Białystok wraz ze starostwem tykocińskiem otrzymał od sejmu „wiecznem prawem" Stefan Czarniecki (1661). Córka jego, Aleksandra Katarzyna, wyszedłszy za Jana Klemensa Branickiego, marszałka nadw. koronnego, wniosła Białystok w dom Branickich. K. B.

gający się bezrząd nie sprzyjał ludności miast, czego bolesne ślady pozostały po całem Podlasiu. Drohiczyn ze stolicy stał się małą mieściną (liczne kościoły świadczą o jego wielkości), a że Bielsk lepiej się trzymał wskazuje na to wzgórze, które dziś Zamkiem królowej Bony nazywają, jak i liczne mogiły Szwedzkiemi nazywane.

Za czasów pruskich Bielsk cokolwiek się podniósł, ale nigdy nie doszedł do dawnej świetności. Podlasie to miało szczególnego, że gdy na całej Litwie i Biało-Rusi unia zastąpiła wyznanie greckie, w Bielsku i Drohiczynie greckie cerkwie pozostały.

Powieść niesie, że gdy w r. 1623 w mieście Witebsku arcybiskup Jozafat, którego kościół później beatyfikował [1]), z całą gorliwością unję zaprowadzał część żarliwszych zbuntowała się i unikając juryzdykcyi królewskiej, schroniła się do Podlasia. A że ten kraj chętnie każdą ludność przyjmował, przeto pozostawiono ich w spokoju przy swej wierze. Ztąd też i w Bielsku dużo osiadło nieunitów. Całe wsie, a szczególnie Augustowo, gdzie mieszkał mój druh Petro, spokojnie wyznawały wiarę nieunicką. Mam to w podaniu, że mój protoplasta, który z okolic pińskich pochodził, był także w tej zawierusze, i emigrując osiadł w Bielsku. Potomkowie jego naprzód unję przyjęli, a następnie przeszli na obrządek łaciński, bo szlachta okoliczna wiedząc, że ze szlachty pochodzą, do tego ich przywiodła. A że

---

[1]) Józefata Kuncewicza arc. połockiego zamordowanego przez schyzmę, kanonizował Pius IX. K. B.

byli poprzednio uniatami, to wiem z tego, że kiedy do grobu Chrystusa na Wielkanoc w braku żywych rycerzy trzeba było malowanych, malarz portretowy, będący w nieprzyjaźni z moim pradziadem, przez zemstę w karykaturze zrobił portret jego i odtąd jako rycerz corocznie strzeże grobu Chrystusa w cerkwi zwanej Przeczystą. Ojciec mój zaś, pragnąc mnie utwierdzić w obrządku łacińskim, zaprosił na mego ojca chrzestnego biskupa i ztąd nieraz zakład później wygrałem, dowodząc, że jestem synem biskupa, ale strzegłem się dodawać, że tylko chrzestnym. — Jakkolwiek wyznania religijne stanowiły różnice, wszakże księża uniccy, pochodząc po większej części z klasy miejskiej, wiele się przyczyniali do zjednoczenia. Znaczna ich liczba była ludzi istotnie oświeconych; byli też kochani od panów, jako zwykle mniej wymagający od księży łacińskich i lubiani od włościan, bo byli ich obrońcami, nauczycielami i przyjaciółmi. Przez staranne wychowanie synów swoich, pociągali mieszczan do oświaty i ztąd to pochodziło, że wielu wydała ta ziemia ludzi znakomitych w rozmaitych gałęziach wiedzy.

Ztąd też wyszło wiele młodzieży do Uniwersytetu wileńskiego, i jak słyszę w ostatnich czasach gimnazyum Białostockie słynęło z tego, że dostarczało dobrze wykształconych uczniów; drobna szlachta chętniej szła za tym przykładem i wszystkie klasy ubiegały się o wykształcenie, bo nawet włościanie szli do gimnazyum i znałem kilku zaszczyt krajowi przynoszących.

Bielsk jest miastem pobudowanem w staropol-

skim guście. Głównym jego punktem jest rynek obszerny, na środku którego stoi ozdobny ratusz murowany, bez wieży [1]). Jest w Bielsku także prócz kościoła farnego, murowany klasztor OO. Karmelitów, ale od czasów pruskich otrzymał inne przeznaczenie. Cerkwi unickich było 4, jest i cerkiew a raczej Sobór grecko-rosyjski. Blisko miasta leży rezydencya starostwa, zwana Hołowicik [2]) i osada z młynem nadana przez Branickich, a nazwana Klementynowem. Oprócz rynku głównego jest rynek koński, ulic kilka bardzo porządnych. Miasto posiada 6 wsi, jak to już wyżej podałem. Rzeczka Biała przeżyna miasto, łączy się niedaleko, pod wsią Chrabołami z Orlanką i wpada do Narwi.

Prusacy za swego pobytu utrzymywali, że w ich kraju pozycya Bielska byłaby bardzo handlowa, bo rzeczka Biała ledwo o milę jest odległa od Nurca, który wpada do Bugu, a kanał niewielki, przy oczyszczeniu i opatrzeniu śluzami, mógłby połączyć Narew z Bugiem.

Bielsk miał dawniej stosunkowo do przemysłu kraju, liczne fabryki koców, kilimów i kożuchów, ale ten przemysł w stagnacyi zostaje. Jarmarki bardzo niegdyś liczne, dziś się zmniejszyły; jedynie targi czwartkowe licznie są zwiedzane przez okolicznych mieszkańców. Bielsk miał przywilej, że żydzi zamieszkiwać w nim nie mogli, ale ten naród tak jak woda wcisnął się przez drobne szczeliny,

---

[1]) Z XV w. jak podaje Rocznik Gęograficzny. K. B.

[2]) Słownik geograficzny nie zna tej nazwy. K. B.

szeroko się rozpostarł, a lubo żydzi nie mogą posiadać nieruchomości, wszakże znaleźli sposób na obejście prawa [1]).

Emigracya, która z poza Dniepru w czasie zamieszek religijnych tu napłynęła, dotąd jest spostrzegalną. W czasie Wielkanocy główną odgrywają rolę jaja farbowane, a takie rodzaje ciast jak „knysze“, to jest pierogi z kapustą, i „ogólniki“, czyli babki z hreczanej mąki, zapewne dalej na zachód nigdzie się nie wypiekają i nie sprzedają jak w Bielsku na rynkach.

Dziwna rzecz, że prawie każde miasteczko w tak małym okręgu, ma wiele właściwych sobie zwyczajów i różnic bytu. W Drohiczynie naprzykład wszyscy, nawet z najniższych klas mówią po polsku, a nawet i ci, co są religii greckiej. W Kleszczelach natomiast prawie cały ogół mówi po rusku. W Bielsku znowu połowicznie w kółkach familijnych używa się albo jednego, albo drugiego języka, a ogólny miejski jest język polski.

Ślady Jadźwingów pozostały tylko w niektórych nazwiskach rodowych. Muszą być jadźwingowskie, bo nigdzie indziej spotkać ich nie można [2]). Białystok zaś, że był przez Prusaków w części zabudowany i że tam była regencya składająca się ze zna-

---

[1]) W r. 1878 liczono w Bielsku 5810 mieszkańców, z czego żydów 3968. K. B.

[2]) Do nazwisk jadźwingowskich zaliczał W. Ossoliński (l. c.) Burzymów, Szmurłów, Koców, Kunatów. Ci ostatni wywodzili swe pochodzenie od Kumata, wodza Jadźwingów. K. B.

cznej liczby urzędników, przeto ma wyciśnięty ślad niemiecki.

Strój ludu zbliża się więcej do mazowieckiego niż do litewskiego; mężczyźni tem się od mazurów różnią, że więcej używają przy kapotach kapturów, a łapcie są tu prawie nie znane, kiedy o kilka mil są już w powszechnem użyciu.

Kartofle dopiero za mojej pamięci zaczęto sadzić, a kawę dopiero Prusacy rozpowszechnili. Herbaty zaś daleko później, po objęciu tej ziemi przez Rosyę, używać zaczęto.

Przed Bożem Narodzeniem obchodzą wigilię tym sposobem, że stół nakrywają sianem i na siano dopiero rozścielają obrus. W kącie izby jest umieszczony snop zboża na uproszenie Boga o urodzaj. Są dwie potrawy, które w polskich prowincyach są nieznane, to jest *kisiel*, galareta z rozgotowanej mąki owsianej z przymieszaniem rozmaitych konfitur i *kucia*, pęcak z makiem i miodem. A przytem śpiewy kolendowe śpiewane być muszą, tak ruskie, jak i polskie.

Na św. Jerzego piecze się ciasto ustrojone w rozmaite przepaski nazwane *korowaj;* z tem ciastem i z rozmaitemi przekąskami familie wyjeżdżają lub wychodzą na swoje pole i potarzają po polu tym korowajem dla ściągnięcia błogosławieństwa niebios, a potem przy zabawach go pożywają. Korowaje te są niezbędnie potrzebne do ślubów; druchna i drużbowie roznoszą je, zapraszając na wesele, które później odbywa się prawie tak samo, jak we wszystkich prowincyach.

Zapusty, nazywane gdzieindziej ostatkami, tylko przez trzy dni obchodzą tańcami, maskowaniem się i innemi zabawami. Łacinnicy przedłużają zapusty jeszcze o trzy dni do Popielca, Rusini kończą je w Maślną niedzielę.

Łacinnicy na Kwietnią niedzielę, urządzają w kościołach na kształt teatru, na którym występują dzieci poprzebierane za aniołków i rozmaite prawią oracye. Są to żyjące misterye.

Jest zwyczaj, że poświęconemi różdżkami, które pielęgnują i do zieloności zawczasu doprowadzają, jedni drugich jak najraniej budząc biją i wymawiają:

Werba bjet, nie ja biju
Za tyzdeń Wielik Deń!

Wielkanoc tem się różni, że mnóstwo przygotowują jaj farbowanych, zwanych pisankami. Różne przytem gry wynaleziono: albo idą na wybitki, i ten wygrywa, który uderzając czubkiem w czubek tłucze jaje, bądź jest rodzaj gry jak w kręgle: zestawiają pochyło dachówkę lub żłóbek i z takowego spuszczają bądź zupełnie wolno, bądz z przysileniem jajka, a ten zabiera, którego jajko trafia w znajdujące się na placu poprzednio wypuszczone.

Święcone tak się obchodzi jak w reszcie kraju, tylko ludzie greckiej religii po rosyjsku Paschę święcą. Biedni chłopcy w czasie Bożego Narodzenia chodzą śpiewać pod oknami lub w sieniach kolendę a na Wielkanoc chodzą z oracyami „po wołoczebnem“, to jest na włóczęgę i zbierają męsiwa i jaja, a potem robią sobie ucztę. Wszyscy witają się na Wielkanoc wymawiając: *Chrystos woskres!*

W wigilię św. Jana, nie obchodzą tu sobótek, jak w innych prowincyach Polski, przez rozniecenie ogni, ale wychodzą do lasów, bo tam w tę noc ma kwitnąć paproć, a komu taki kwiatek wpadnie w cholewę buta, to taki szczęśliwym będzie.

Dawniej święta łacinnicy obchodzili podług kalendarza Gregoryańskiego, a ruscy podług Juliańskiego, ale po wcieleniu tej prowincyi do Rosyi ci i ci obchodzą wspólnie święta podług Juliańskiego kalendarza.

Przez ścieranie się codzienne dwóch języków, jeden na drugiego ma wpływ widoczny i często ztąd nastaje taka mieszanina, że tylko wymawianiem różnią się. I tak Rusin na księdza mówi: *Dobrodej,* na pana i panią domu: *Jegomost* i *Imost,* pieniądze nazywają *hroszy* i t. p.

Polacy zaś mówią np. *Ślozy się mu pokociły z oczu,* to jest, łzy mu się wytoczyły z oczu. Raz posłałem do Francuza chłopca za interesem, a ten zdając raport powiedział, że „tam Niemcy po lutersku brzechają“, to ma znaczyć, że po niemiecku szczekają.

Dziwna rzecz, że do łajania każdy Polak używa rusińskiego języka, zdaje się, że to brzmi dobitniej. W kłótniach albo sporach Rusin nazywa Polaka: *a ty ślepy Mazurze, co żytniczki jadasz!* to jest myszy polne. Polak znowu: *a ty syzmatyku, złodzieju!*

Na wymawianie właściwego języka, także ta mieszanina wpływa. Przeciąganie Podlasian pochodzi

z wpływu ruskiej mowy, a ruska mowa przeciwnie naszpikowana jest obficie polszczyzną.

Dla Rusina jest trudne zachowanie różnicy, gdzie należy używać w polskiej mowie *rz* a gdzie *r*, ztąd po miasteczkach mówią często przeciwnie n. p.: *repa*, *grzoch*, zamiast rzepa, groch.

Przy żniwach i okrężnem śpiew jest przeciągły i smutny, tak jak wszystkie ruskie śpiewy. Kiedy Polacy żną z Rusinami, każdy śpiewa swoim językiem, ale tłumacza nie potrzeba. Polak śpiewa:

Dożęli żyta, dożniemy jarki,
Nie żałuj panie, piwa, gorzałki.

a Rusin:

Dożali żyta, dożniem i jarki,
Nie żałuj, pane, piwa, horełki.

Rusini prawie wszystkich, co po polsku mówią nazywają szlachtą i tak dojeżdżającemu do dworu na zapytanie odpowiedzą: *Pana doma nema, no szlachta jest*, co znaczy, że są oficyaliści w domu. Tak Rusini jak Polacy nie pominą się w drodze bez powitania: „*Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus*“, a drugi odpowiada: „na wieki wieków“, Rusin mówi: „*Bud' pochwalon Isus Christos*“, odpowiadają mu: „na wiki wikow“.

Wielu bardzo wyrażeń tu nasłuchać się można, których mi się nie zdarzyło gdzieindziej słyszeć: n. p. *pańskiego lata* t. j. przeszłego roku; *hody* znaczy *dosyć*; może to jest wyraz ruski, ale powszechnie jest używany; wyraz *czuć* tu jest nadużywany, bo znaczy zapach, dotykanie i słyszenie;

zamiast „*słuchaj*“ mówi się „*czujesz*“, a nawet *czuć nie przyszedł*, to znaczy: ledwie nie przyszedł.

O żydach w naszych stronach nie wiele można powiedzieć, bo prawie tak samo się ubierają, jak w innych okolicach, może tylko tem się różnią, że najczęściej chodzą w patynkach, to jest w pantoflach bez tyłków, albo w trzewikach, a prawie nigdy w butach. Żydówki, tak jak zapewne w reszcie Polski, noszą bindy wysadzone perłami, lub innemi kamieniami na głowie, a przed kaftanem mają rodzaj rabatów do zakładania w celu ogrzania rąk. W domach żydzi kochają się w ilości puchowych i pierzanych piernatów, zawieszają też kołdry nad łóżkami, zapewnie dawniej ogólnie używane. Ławki z poręczami przekładanemi są tylko u nich jeszcze widziane. Strzegłem się ich jak ognia, bo miałem od dzieciństwa uprzedzenie przeciwko nim, wszakże jednego polubiłem, niejakiego Hersza, który w Bielsku ma handel kolonialny, a nawet zostawiłem u niego mały fundusik dla moich dzieci, będąc pewnym, że nie zawiedzie mego zaufania.

Jeszcze na jeden przedmiot muszę zwrócić uwagę. Rzadko która okolica ma tyle nagromadzonych przesądów, ile kraj tutejszy. Co zostało po dawnych Jadźwingach, Litwinach, jako tu niegdyś panujących, dalej wszystko, co Ruś z sobą przyniosła i co polska ludność przyniosła od Zachodu, wszystko tu jest pomięszane i żyje w umyśle ludu. Gdy miotła w kącie stoi, gdy solniczka przewróci się na stole, gdy kto próg lewą nogą przestąpi, gdy przez próg wita się z przyjacielem, gdy koń parsknie lub nogą

kopnie, gdy wrony zakrakają, gdy puszczyk odezwie się, gdy nietoperz przeleci, gdy pies zawyje, gdy trzy świece palą się w izbie, gdy trzynastu do stołu zasiądzie, — wszystko to stanowi złą wróżbę. Dni feralne obserwują się święcie. Istnieją tu upiory, wilkołaki, czarownice, czyli wiedźmy i nieprzeliczone mnóstwo innych. Uchodziłem za niedowiarka we wszystkie przesądy i raz mało życiem nie przepłaciłem mojej zarozumiałości.

We wsi Dziadkowicach, o kilka mil od Bielska, był odpust, na którym liczna drużyna ucztowała u tamecznego proboszcza. Ochota ożywiała całe zgromadzenie do późna, ale wyczerpywał się zapas napoju i gospodarz, choć rad gościom, oświadczył, że dalibóg więcej wina nie ma. „Jest jeszcze, mówił, garniec w zakrystyi, ale ponieważ północ się zbliża, a nieboszczyk stoi na katafalku w kościele, nikt się nie ośmieli tam udać“. Korzystając z moich poprzednich przechwałek, z niedowierzania we wszelkie nadnaturalne objawy, wszyscy obecni z przyciskiem wskazywali, że ja jeden tylko byłbym w stanie ożywić całe towarzystwo i przynieść wino z zakrystyi. Rozochocony i podniecony ofiarowałem się spełnić tę misyę. Dano mi latarkę pospolitą i klucze do kościoła i zakrystyi, a ja śmiało poszedłem, otworzyłem kościół, poszedłem koło katafalku, następnie otworzyłem zakrystyę i istotnie znalazłem gąsiorek z winem, a że tam piękne leżały jabłka, wziąłem ich kilkanaście, ponapychałem kieszenie i nakładłem za pazuchę kapoty. Gdym wychodził z zakrystyi, postawiłem latarkę na ziemi dla

zamknięcia drzwi za sobą, co gdy dopełniłem, schyliłem się po latarkę, ale nieszczęściem, jabłka z za pazuchy przy mojem schyleniu wypadać zaczęły i jedno obaliło latarkę, która natychmiast zgasła. Odgłos powstały z upadku jabłek na podłogę rozległ się ponuro, strach mię ogarnął... Powracając omackiem, potrąciłem o katafalk... Strach mi najeżył włosy, ledwie wyjść zdołałem z kościoła. Przyniosłem wprawdzie wino, ale cały blady jak trup z przerażenia, nie mogłem ożywić towarzystwa. Wszyscy się rozjechali, a ja odchorowałem moje zuchwalstwo. Dziś na zimno z siebie się śmieję, ale to mnie nauczyło z jaką trudnością przychodzi rozumem pokonywać wrażone w dzieciństwie uprzedzenia i zapewne przesądy długo jeszcze opierać się będą wpływowi oświaty.

III.

Czasy Pruskie.

Miasta nasze dawniej ani czystością, ani dobrym bytem nie zalecały się, gdyż rządzone przez starostów i ich zastępców, nie miały nad sobą opieki, a policya w ogólności nie była sprężystą w ostatniej epoce. Pomimo to miłość do kraju, szczególniej od czasu sejmu czteroletniego, wzmogła się nadzwyczajnie między ich mieszkańcami.

Po objęciu przeto rządów przez Prusaków, z wielką odrazą ich przyjęto, a szczególniej rozmaitemi śpiewkami i ucinkami wszyscy ich ścigali. Oddać jednak trzeba tę sprawiedliwość, że Niemcy tolerowali wszystkie wybryki, zaprowadzali porządek, handel się obudził. Szczególniej w owych czasach wojen z Francyą silnie podskoczyły ceny, a wielka ilość handlujących zbogaciła się. Włościanie sprzedając dobrze swe produkta, cieszyli się zyskiem, dlatego kiedy następnie ten powiat dostał się pod panowanie rosyjskie, wogóle mile wspominano pruskie czasy. Bielsk nawet za rządów pruskich upiększony został przez kilka kamienic, a Białystok im winien prawie całe swoje urządzenie i wykształcenie na wcale porządne miasto.

Najboleśniejszą dla nas rzeczą było, że rząd pruski pozaprowadzał wszystkie jurysdykcye niemieckie i że, jak już wspomniałem, akta w tym języku dla nas niezrozumiałym były pisane, a tłomacze nieraz do rozpaczy nas doprowadzali swoim językiem śląskim, którym nam objawiali to, co po niemiecku było pisane. Wraz z Niemcami zaraz posprowadzali się kupcy niemieccy, którzy palili tytoń w fajkach porcelanowych, ciągnęli piwo kuflami, a czasami poncz, o którym pierwszy raz posłyszeliśmy.

Wogóle nie mieliśmy szacunku dla urzędników pruskich; w dawnej bowiem Rzeczypospolitej urzędnik był to szlachcic okoliczny z rodu znanego. Gościnność naszych urzędników była staropolska i pomimo urzędu był każdy każdemu bratem. Nawet miejskie urzędy ze szlachty, po większej części ogołoconej, składały się [1]). Stąd też kiedy urzędnik pruski opowiadał o swoim ojcu garbarzu, albo kuśnierzu, gdzieś tam żyjącym w Pomeranii, nie mógł wywierać wpływu i doznawać szacunku dawnym urzędnikom okazywanego. Ich obca narodowość i oddzielanie się, boć do nas pasować nigdy nie mogli, ich oszczędność, wyśmiewana przez nas, a najwięcej to, że jak w ogólności wszyscy mieli pretensyę do większej cywilizacyi i gardzili wszystkiem co nasze; a co najbardziej wprowadzone przez

---

[1]) Szczegół mało znany i zbyt mało podkreślany. Dowód to, że przed wydaniem ustawy o miastach, życie już uprzedziło prawo, że mieszczaństwo ze szlachtą siłą rzeczy zbliżało się z sobą. Właśnie nasz p. Roch był takim mieszczaninem szlachcicem. K. B.

nich podatki, opłaty różnego rodzaju i kary — wszystko to oburzało na nich bez względu na to, iż dochody nasze były daleko lepsze. Każdy też powtarzał znaną piosnkę:

O biedaż nam Mazury,
Jakiej nigdy nie było,
Niemcy drą nas ze skóry,
O czem nam się nie śniło.

Język niemiecki przez nas niepojmowany, na częste narażał ich żarty. I tak opowiadano, że kiedy spisując Niemiec ludność zapytał szlachcica: a gdzie twoja Marysia? — i usłyszał odpowiedź, że poszła za mąż — kazał napisać: „ausgewandert nach Zamość". — Raz śmiałem się do rozpuku. Jeden z urzędników stojąc w gronie kolegów na rynku, dowcipkował z biednego szlachcica, który zamiast siodła, miał worek z obrokiem, a zamiast strzemion powróz, który mu je zastępował. Zacząwszy śmieszki robić z naszej drobnej szlachty, dostrzegł ów Niemiec, że koń owego szlachcica był pstrokaty, a ponieważ wówczas noszono cyce, czyli perkaliki pstrokate, przeto zawołał: — „Ej Herr szlachcic, po czemu łokieć cycu?" — Szlachcic nie zmięszany, obrócił się, podniósł ogon kobyle i zawołał: „Proszę do sklepu, a stargujemy się" [1]).

Polacy gniewali się, szydzili, afronta władzy wyrządzali i śpiewali; Niemcy kazali płacić, nie gniewali się — i tak dalej szły rzeczy aż do roku 1807.

---

[1]) Obie te anegdotki dość znane, ale tu mamy prawdopodobnie ich rodowód. K. B.

Usłyszeliśmy wówczas, że już Warszawę, stolicę prowincyi Prus południowych zajęli Francuzi. Zaczęto sztyftować wojsko polskie, zaczęły się rozchodzić rozmaite szmery. Władze pruskie udawały, że są spokojne, choć poruszenia między młodzieżą wszędzie się rozszerzały. Przez pantoflową pocztę żydowską dochodziły głuche wieści o zbliżaniu się Francuzów. Raptem wojsko otrzymało rozkaz wymarszu i nasz landrat ze swymi Niemcami wybierał się do wyjazdu. Coraz śmielsi byli rozsiewacze nowin, wszyscy otuchy nabrali i nuż ku Niemcom wznosić krzyki. Wtem dano znać, że idą Francuzi. Co żywo wszyscy na wyścigi biegli za miasto; mówiono, że forpoczty pokazały się we wsi Augustowie. Mój Petro wpada do mnie, zabiera mnie na wózek z sobą i pierwszy spotkałem się z oddziałem wojska francuskiego, w którym byli i Bawarczycy. Za pomocą niemieckiej, gwałtem do mózgownicy naciśniętej mowy, pomagając sobie migami, daję zapewnienie, że miasto Bielsk opuszczone, że śmiało można wejść do niego. Za mną pospieszył kto mógł, utworzyła się mała reprezentacya. Przyjęliśmy zbawców kraju z najwyższemi oznakami radości.

Przybył także mój nieodstępny przyjaciel Sobolewski. Każdy uprowidował się w wino i w inne zapasy. Zaraz w Augustowie okazaliśmy przybyszom nasze uniesienie i z tryumfem szliśmy obok forpoczt do miasta. Wszystko co żyło krzyczało „Wiwat Napoleon nasz zbawca“. Uroczystość nadzwyczajna nadała gorączkową radość miastu i dziś

jeszcze gdy to piszę, w lat kilkanaście po wypadku[1]), czuję iż to był jeden z najszczęśliwszych dni w życiu mojem.

Każdy z obywateli miasta rad prowadził na kwaterę tylu żołnierzy, ilu mógł pomieścić i wyżywić. Miasto zaludniło się szlachtą i większą i drobną. Zaprowadzono rząd tymczasowy z najszanowniejszych obywateli, wszyscy mieli nadzieję, że Polska zmartwychwstaje i nikt o tem ani wątpił. Przypinano narodowe kokardy. Gdzieś się obrócił, wszędzieś słyszał rozlegający się śpiew: „Jeszcze Polska nie zginęła". Słowem, raj zapanował w spokojnem ustroniu naszem, a trzeba oddać sprawiedliwość, że cała ludność ruska dzieliła radość wspólną.

Tak bujaliśmy upojeni radością i świetnemi nadziejami, bo to u nas tak zawsze bywa, że każde zabłyśnięcie nadziei bierzemy za rzeczywistość.

Handel tymczasem szedł wybornie. Chociaż granica od Litwy była dobrze obsadzona z jednej strony przez Rosyan, a z drugiej przez francuskie wojska, konie nasze przemykały się swobodnie, zyski szły wielkie tak dalece, że już mnie do wyższej kategoryi handlowej wzięła chętka i podjąłem się antrepryzy dostarczania żywności dla wojska. Gromadziły się do talarów zachowanych franki i złotko różnych narodów. Kasa wzrastała, a z nią i ochota do wszystkiego. Byłem podówczas w kwiecie wieku, bo liczyłem lat trzydzieści, słowem zdawało mi się, że świat

---

[1]) Z tej wzmianki widać, że p. Roch spisywał swe wspomnienia koło r. 1822.

cały zwraca uwagę na mnie. Miałem siebie za człowieka geniuszu. Byłem już wówczas żonaty i miałem dzieci dwoje. Marzyłem więc o ich świetnej przyszłości.

Wtem wyjechał do Warszawy za interesami pieniężnemi (bo z Warszawy, jako z głównej kwatery odbieraliśmy pieniądze) Sobolewski, zabawił czas niejaki w tem mieście i dobrze się sprawił. Zawiadomieni listownie o jego powrocie i o tem, że pieniądze za obrachowane dostawy otrzymał, gotowaliśmy się z festynem na jego przyjęcie, gdy wtem zostaliśmy rażeni jak piorunem. Blady i zmięszany przywitał nas zimno, jak człowiek najgorszą myślą dręczony. Zaczęliśmy zrazu szydzić z niego, że tchórz, ale niestety pomimo naszych niedowierzań (bo przykro jest niszczyć w sobie wysnute nadzieje, które braliśmy za rzeczywistość) i nas zwarzył i zachwiał dobry humor, zapewnił nas bowiem, że pokój Tylżycki zawarto i że kraj nasz oderwany został od mającego się utworzyć Księstwa Warszawskiego, a ma być wcielony do Rosyi. Wiadomość ta wyprzedziła pocztę pantoflową i rozniosła się lotem piorunu po mieście i okolicy. Mało kto jej uwierzył, ale znając Sobolewskiego i wiedząc, że w swojej zwykłej oględności nie rozszerzałby wieści próżnej, spuściłem z tonu tryumfalnego. Zmartwienie i cicha boleść zajęła miejsce radości.

Gazety wówczas to była rzecz rzadka. Przychodziły dawniej niemieckie raz na tydzień do władz pruskich, ale gazety polskie, które dawniej raz na tydzień, a w owej epoce dwa razy na tydzień wy-

chodziły, dostawały się do nas bardzo rzadko i to przez nadzwyczajne okazye. Gazety przez Sobolewskiego przywiezione zwiastowały tylko o zjeździe nastąpionym na Niemnie pomiędzy cesarzem rosyjskim i francuskim, ale nie wspominały nic o złej wieści przywiezionej przez Sobolewskiego. Wzięliśmy go za pesymistę i podług serca naszego cieszyliśmy się najlepszą nadzieją. Ale powoli, powoli zaczęły dochodzić coraz wyraźniejsze wieści, stwierdzające niepomyślną wiadomość, aż wreszcie zamieniła się ta wieść w rzeczywistość. Weszły wojska rosyjskie do Białegostoku, przybył senator Theyls dla organizowania obwodu białostockiego w miejscu Kamery pruskiej. Zachowano rząd tymczasowy. Przybyły do nas wojska rosyjskie i dowiedzieliśmy się, że rzeczywiście należymy do cesarstwa rosyjskiego. W każdej niedoli znajduje się zaraz pociecha; zapewniono nas, że władze będą z Polaków obieralne, że sądzić się będziemy statutem litewskim, że organizacya nowa zadosyć uczyni wszelkim wymaganiom dobrego bytu, że urzędnicy będą płatni daleko lepiej, niż w całej Rosyi. Otucha przeto w serca nasze wstąpiła, a tembardziej cieszyliśmy się, że już raz pozbyliśmy się niemieckiego języka [1]).

---

[1]) Wspomniany senator Theyls (p. Roch pisze go Tels) uważany był za Niemca, choć pochodził z rodziny flamandzkiej. Podobno królowa pruska Ludwika prosiła cara Aleksandra, aby wszechrządcą w Białostockiem zrobił Niemca „dla uchronienia urzędników pruskich od zemsty krajowców". Theyls sporo Niemców na urzędach utrzymał. „Wodzili rej", pisze Michał Sta-

rzeński, b. „ziemiański“ jenerał podlaski za Kościuszki, którego Theyls wziął sobie za pomocnika. Po oderwaniu od Galicyi obwodu Tarnopolskiego (1809), car oddał Theylsowi rządy tego nowego nabytku. O rządach tych mamy obszerną monografię Leszczyńskiego.

IV.

Historya mojej konkurencyi.

Nie chciałem przerywać ciągu, dopiero więc teraz opiszę moje ożenienie. Zawsze byłem żywy, wesoły i towarzyski, to też bez Rocha żadne zgromadzenie w mojem kółku pożycia nie było ożywione. Byłem do tańca i do różańca. W kościele na chórze głos mój donośny zwracał uwagę niejednej piękności miejscowej i niejedno też płynęło ku mnie westchnienie, ale lekko zbywałem wszystkie, nie wdając się w żadne sentymentalne rozhowory. Już w r. 1798 stosunkowo zamożny i lubiany, nie nazywany w całej okolicy inaczej jak Rosio, żyłem lekko jak motyl i czas mi na zabiegach w interesach moich, oraz na żartach i śmiechach przechodził. Miałem szczególną pasyę godzić zwaśnionych i często po swarach następowały zgody i biesiady. Z takim charakterem i Niemcom byłem miły, bo z nimi żadnej zwady nie prowadziłem, ale owszem, zwaśnionym na nich, powód do waśni tak żartobliwie przedstawiałem, że z nieprzyjaciół robiłem przyjaciół.

Kiedy już przychodziłem do pełnoletności i ojczym widział potrzebę zwrócenia mi mojej szczu-

płej schedy, objąłem w zarząd niewielki dom, budowle gospodarskie upadkiem grożące, oraz ćwierci gruntu w rozmaite połetki rozrzucone, wyjałowione, a niektóre na drożyny poobracane.

Po odebraniu schedy, na seryo, z duszą wziąłem się do odnowienia budowli i przerobiłem je prawie na nowe. Grunta uregulowałem. Przyjąłem za parobka Korniłę czyli Korniłowicza, starego wojaka, który po rozwiązaniu armii polskiej na Wołyniu wrócił w rodzinne strony i dotychczas przy mnie zostaje. Dziarski chłop gorliwie wypełniał swe obowiązki, a ja go traktowałem nie jako sługę, ale jak brata, boć to w handlu końskim prawdziwy tylko przyjaciel ochroni stajnię od szkody, ponieważ zaniedbanie, a broń Boże niechęć, o szkodę wielką przyprawiają. Będąc rzadkim gościem w domu, zawsze przywoziłem Kornile gościńca, bo na to zasługiwał. Coraz dalej widać gorzej na świecie, bo dziś nowożytne stosunki między gospodarzem a sługą psuć się zaczynają.

W marcu 1799 na końskim targu czwartkowym powstał spór zacięty pomiędzy kupującym konia, a sprzedającym. Sprzedający zaręczał, że koń jego niema żadnych wad i narowów, ale gdy nabywca chciał wcześnie wyjechać z miasta, a wypadło mu most przebywać, żadną miarą nie mógł tego dokazać, bo koń przez most iść nie chciał. Nabywca wrócił przeto na targ, zawiązała się sprzeczka, zanosiło się nawet na bójkę. Wtem odezwałem się: „Mości panowie! uciszcie się! a my tu zaraz sąd złożymy. Tylko musicie się poddać, jak w każdym

sądzie, pod opłatę kosztów, a te wtenczas zapłacone zostaną na korzyść sędziów i całego szanownego tu kółka przyjacielskiego, jeżeli strony poprzestaną na wyroku i wyrzekną się apelacyi". — Przyjaciele rozwiedli zwaśnionych i skłonili do przyjęcia wyroku. Andrzej Gadziński, jako najpoważniejszy między nami został burmistrzem; dobraliśmy dwóch ławników, woźnego, a ja zostałem patronem. Notabene działo się to w izbie szynkownej.

Za dużym stołem posadziliśmy burmistrza, jako prezydującego, umieściliśmy go jak na tronie, postawiwszy stołek na ławie, która całą izbę okalała. Ławnicy zajęli miejsca na ławach, na stołku siedział pisarz; a woźny, który prosił publiczności, aby jedną izbę oczyszczono, zatarasował drzwi stołem, zostawiając je otwarte jak kazalnicę i często krzyczał: — „Uciszcie się panowie!" Spór wiodący siedli blisko improwizowanej trybuny na stołkach, a ja jako patron tak rzecz rozpocząłem:

— Prześwietny Sądzie! Wiadomo jest wam, że prawa wszelkie o tyle sumiennie są wykonywane, o ile się zgadzają z obyczajami, zwyczajami i potrzebami, ale ile razy prawa są z niemi w sprzeczności, wtenczas znajdą się środki na ich obejście, a nawet same prawa tak są elastyczne, że się dają rozciągać, a ba, nawet robią wielkie ekscepcye w zastosowaniu.

„I tak: wyraźne jest prawo nie zabijaj, a przecież żołnierzowi stanowi zaszczyt im więcej który zabija, a nawet ten, co zabija w pojedynku, jest osłaniany przez opinię publiczną. A kradzież?

Któryż kawaler sądzi się być zbrodniarzem dokonywając wykradzenia panny, albo czy myśliwy ma się za złodzieja, gdy psa ukradnie? Uczony też z zupełną spokojnością sumienia kradnie rzadkość literacką, zagrzebaną w pyle bibliotek nieznawców. Toż samo stosuje się i do oszustów: polityk oszukuje, i im lepiej potrafi to wykonać, tem większą ma sławę; w czasie wojny, oszukać nieprzyjaciela jest chwalone jako genialny obrót. Jeżeli tę maksymę zastosujemy do koni, tu dopiero oszustwo przybiera obszar dyplomatyczny: ileż razy słyszałem chwalących się, a z innych względów nieposzlakowanych obywateli, że doskonale sprzedali swe konie, co tłumacząc po polsku: nabywcę oszukali.

„Tu jest przypuszczenie, że ten, co kupuje konie, powinien się znać na nich, a nigdy nie powinien przestawać na zapewnieniach sprzedającego, bo w handlu każdy kupiec swój towar chwali — a że pan Józef zapewniał, iż koń jego nie ma żadnej wady, to tem się tłumaczy, że powiedział, iż tylko „na drzewo nie włazi“. Kupujący uważając to za żart, przekonał się, chcąc przejechać przez most, że sprzedający prawdę powiedział, że koń na drzewo wejść nie chce, to jest na drzewo, z którego most był zbudowany. Z tego powodu zważywszy, że w sprzedaży koni oszukaństwo przez opinię publiczną jest tolerowane, zważywszy nadto, że przy sprzedaży winą było kupującego, że nie wytłumaczył sobie dobrze ostrzeżenia o drzewie; wszakże jednak, ponieważ to zły ptak, który własne gniazdo zanieczyszcza i wilk w miejscu legowiska szkód

nie robi, a sprzedający nie oszukał obcego, za co dałbym mu absolucyą, ale sąsiada, — proponuję osądzić go na kary i koszta.

„Z drugiej strony Mości Dobrodzieju (zwróciłem się do kupującego), może jeździć nie umiesz, a przeto koń ci zachimerował i dlatego rościsz tu pretensyą. Twoja wina, że przed wypróbowaniem kupiłeś, a przeto za lekkomyślność i ciebie na koszta i kary skazujemy. Że zaś warunek był, aby strony były zadowolone z wyroku, otóż tak proponuję: ja konia kupię i zwracam kupującemu zapłacone pieniądze i waruję, że będzie wyznaczona komisya, która się przekona, że koń przez most doskonale przejdzie. Most jest niedaleko, bryczka zaprzężona; sprzedający i kupujący usiądą do bryczki, a ja będę furmanem i jak most raźno koń kupiony przebędzie, wrócimy tutaj. A że godność sądu nie dozwala na spełnienie kary w szynkowni, przeto proponuję, ponieważ szanowny pan burmistrz mieszka w tym samym domu, tylko przez sień, aby w mieszkaniu jego wyrok wykonano“.

Publika klasnęła w ręce, woźny zawołał, na ustęp! Wszyscy wyszli do drugiej izby, drzwi zatrzaśnięto, sąd naradził się i za dziesięć minut pisarz, przedrzeźniając pisarza miejskiego, ogłosił wyrok nosowym głosem po przywróceniu przedtem cichości, na głos woźnego: uciszcie się Panowie, uciszcie się! Wyrok następuje:

„Sąd nałożył karę na sprzedającego, za to, że sprzedał konia bez szczerego ostrzeżenia sąsiada o wadach konia. Ma zapłacić kary czerwony złoty.

Takąż samą karę zapłaci kupujący za niewypróbowanie konia, to jest za lekkomyślność. Wreszcie patron, który konia kupił wobec sądu, złoży dukata jako litkup. A że to dziś dzień świętego Józefa, a obie strony zaszczycają się tem imieniem, wiadomo zaś sądowi, że patron stawający ma szczególną weneracyę dla tego świętego, nadto ponieważ to jest dzień, który wśród postu dozwala uciechy, przeto tak burmistrz jako i ławnicy, pisarz i nawet woźny, co w dziejach sądowych jest rzeczą niesłychaną — zamiast korzyści ze sporu, chcą się przyłożyć datkiem do zgody świętej. Burmistrz oprócz tego ofiaruje swoją izbę, aby wykonanie wyroku nie działo się publicznie i poleca naprzód złożyć kary, następnie wykonać próbę, czy też koń quaestionis wlezie na drzewo — a przez ten czas woźny zajmie się wykonaniem przyrządzenia uczty. Każdy z płacących ma prawo przyjąć do uczestnictwa i dla większej wiary jednego z przyjaciół. Zalecamy i rozkazujemy...“

Dalsze czytanie zagłuszyła trybuna, śmiech i oklaski ożywiły całe zgromadzenie, nawet dusigrosze nie chcieli być darmo uczestnikami. Zebrało się też liczne zgromadzenie.

Zaraz usiadłem na bryczkę z przodu jako furman, a panowie Józefowie siedli na honorowem miejscu. Przymocowawszy gałązkę jedliny pod ogon narownemu koniowi, ruszyliśmy na mosty, które przebyliśmy lotem błyskawicy i wróciliśmy bardzo rychło. Tymczasem zgromadzone druhy u Gadziń-

skiego przygotowali wieniec jodłowy, bo dębowych liści nie było, i wprowadzono mnie z tryumfem.

Teraz dopiero zaczęła się biesiada, bez względu, że nie jednego, ale dwóch druhów wprowadziłem: Petra i Sobolewskiego.

Łatwo sobie wyobrazić jak huczna była biesiada przy winie, bo i ten trunek nastąpił po miodzie. Wszystkich serca były jak na dłoni, bo niehamowane były rozmowy, perory i żarty z rozmaitymi konceptami. Pohulanka doszła do tego stopnia, że koń trojako był przepity i musiał ciągnąć za karę cały sąd na dwóch sprzężonych pobok saniach (zapomniałem powiedzieć, że była wówczas wyborna sanna droga), a na środku stała baryłka z winem, co krok z kolei wychylana.

Kiedy już uściskaliśmy się na pożegnauie, Gadziński oświadczył się z chęcią odprowadzenia mnie do domu. Po drodze robiłem spostrzeżenia nad naszą pohulanką, ale Gadziński był roztargniony i kiedy przyszliśmy do izby i siedliśmy na ławach okalających, a ogień rozpalony na kominie pół-światła rzucał, wtenczas Gadziński ozwał się do mnie:

— Mój kochany Rochu! czy ty mnie kochasz?

Chciałem z początku żarty wznowić, ale gdym spostrzegł, że mocno był zasępiony. — „Cóż ci jest panie Andrzeju? — rzekłem — coś cierpisz, może jesteś chorym?

— Nie, mój drogi — odpowiedział — ale tu cierpię bardzo — dodał wskazując na serce.

— Boleję nad tobą i teraz seryo ci powiadam, że cię szanuję jako starszego i kocham jak brata.

— Kiedy tak, to ci powiem: Gdy wyprowadzałeś sprawę przed żartobliwym sądem, widziałem, żeś bardzo dobrze się sprawił przy pogodzeniu zwaśnionych. Otóż przyszła mi myśl, że w moim smutku ty możesz się stać dla mnie zbawcą. Słuchaj i nie przerywaj, przed tobą jedynym zwierzę się z moich boleści, a jak wysłuchasz, powiesz otwarcie, czy się podejmiesz mnie być pomocą, bo usługą twoją możesz mi przynieść ulgę. Po prostu ci rzecz całą wyłożę.

Zarażeni od Niemców manią palenia fajek, przysunęliśmy się do ognia, usiadłszy na stołkach. Kurząc zwolna tak się ozwał p. Andrzej:

„W roku przeszłym byłem na jarmarku w Kleszczelach [1]), jako dobrze znajomy z księdzem Sosnowskim, parochem unickim w tem mieście. Wstąpiwszy do niego, zastałem tam wiele rodziców z familiami; był między innymi Kondratowicz, zamożny obywatel tego miasta, z trzema córkami, między któremi najstarsza Prakseda lat 18 licząca. W miarę ożywiania się zabawy, po wyczerpaniu gier towarzyskich, jak ślepej-babki i innych, zaczęły się tańce przy klawicymbale, znajdującym się u proboszcza. Niechcący tak przylgnąłem do panny Praksedy, że

---

[1]) Kleszczele nad Nurcem, należały do ekonomii bialskiej, posiadanej przez Bonę, która tu kościół zbudowała. W r. 1775 zamieszkałe były wyłącznie przez chrześcijan, którzy zajmowali się przeważnie uprawą chmielu, wywożonego do Królewca. O Kleszczelach podał wiadomość Ig. S. w Bibliotece Warszawskiej, 1845, t. III. Widział w aktach miejskich listy królowej Anny Jagiellonki. K. B.

już nikogo oprócz niej nie widziałem w towarzystwie. Jej skromne ułożenie, jej wyrażanie się, w którem rozsądek i uczucie górowało, przejmowało mnie zupełnie nowem uczuciem, jakiego nie doznawałem przez całe moje życie, — a trzeba ci wiedzieć, że żyję już lat 38, czy 39, bo tego dobrze nie wiem.

„Nieszczęście mieć chciało, że ku końcowi wieczora przybyła do kółka naszego panna Petronela Zakrzewska, około lat trzydziestu mająca, której kiedyś oświadczyłem się. Różne późniejsze okoliczności młodzieńczy nasz zapał rozwiały, a tak nieszczęśliwie zatargowałem, że została starą panną. Zmieszałem się jej obecnością, jakoś szyki były pomieszane, ale wieczór przeszedł bez wypadku. Po jarmarku wróciłem do Bielska, ale panna Prakseda stała mi zawsze na myśli, — choć straciłem na humorze, przedsięwziąłem starać się o jej rękę. Ojciec jej widząc mój rząd domowy i stosunkową zamożność, na skutek wstawienia się przyjaciół, nie był od tego. Zachęcony tą powolnością, parę razy byłem w Kleszczelach, ale znalazłem w jej obejściu się ze mną bardzo wielką różnicę; unikała mnie, była obojętną, tak, że do rozpaczy dochodziłem. Dowiedziałem się z boku, że panna Petronela, rachując ciągle na mój powrót do jej serca, wszelkich używała sposobów, nie szczędząc łez, spazmów i plotek, aby przekonać pannę Praksedę, że moje ku niej zwrócenie się jest tylko chwilowym kaprysem, i że jej, Petroneli, to robię na przekór. Wpływać także musiała na rodziców, bo pierwiastkowo powolne i niby milczące zezwolenie, nie miało już

tego znaczenia. Wróciłem z ostatniej próby niedawno, ale niepocieszony i zrozpaczony, miejsca sobie znaleźć nie mogę. — Otóż mój druhu, ty co tak godzić umiesz zwaśnionych, przyjmij pośrednictwo, abyś naprawił to, co obca memu sercu panna Petronela zepsuła, a zbawcą mym będziesz. Jeździsz często na wszystkie strony, pojedź do Kleszczel, wszak znasz starych Kondratowiczów, tych ująć i ustalić na moją stronę potrafisz. Pannie Praksedzie staraj się przedstawić, że ją z duszy kocham, że ona jedna może mnie uszczęśliwić, a mam nadzieję, że lepszego swata znaleźć mnie nie podobna".

Uczułem litość nad nieborakiem, zapewniłem go przeto, że niczego nie zaniedbam, aby polecenie z całą serdecznością wykonać, pocieszałem go jak można i późno w noc odprowadziłem do mieszkania.

Kto chce psa uderzyć, kij znajdzie. Właśnie w tym roku wojsko rosyjskie pod wodzą Suworowa szło na pomoc Austryi przeciwko Francyi [1]), a lubo Prusy były w pokoju z tym ostatnim krajem, ale tajemnie sprzyjały Austryi. Granica austryacka podówczas była nad rzeką Bugiem, o kilka mil od nas. Oficerowie rosyjscy zakupywali w Prusiech rozmaite potrzeby wojskowe, szczególniej konie, jakoż jeden z nich nabył kilka ich u mnie. Wskazałem mu, że są konie do zbycia w Kleszczelach i ofiarowałem się z nim pojechać, bo moje konie do granicy do-

[1]) 1799. Suworow wspólnie z Austryakami wtargnął do rzeczypospolitej cyzalpińskiej. Legiony polskie (legia druga) w bitwach pod Legnano i Magnano straciły 2000 ludzi, reszta w Mantui dostała się do niewoli.

starczyć zobowiązałem się. Zatrzymawszy się w tem miasteczku dla skompletowania remonty, użyłem dnia tego dla zrobienia ściślejszej znajomości z Kondratowiczami przez kupno u nich pary koni i skierowałem tak interesa, że mile do ich domu zostałem zaproszony. Nie okazując bynajmniej, że jestem interesowany, w rozmowie serdecznej zapewniłem, że w powrocie od granicy poczytam sobie za obowiązek ich odwiedzić. Gościnność nie jest cnotą wyłączną szlachty, ale i mieszczan i ludu, cała więc rodzina zapraszała mnie z serdeczną życzliwością, owszem grozili mi, że będę miał koła porąbane, jeśli mnie dostrzegą ich dom omijającego. Po załatwieniu interesu, dopełniłem mego przyrzeczenia, a przed wyjazdem jeszcze ku granicy napomknąłem, że może sprawy będą wymagać przynajmniej dwudniowego pobytu w Kleszczelach. W istocie celem moim było jedynie załatwić polecenie mego przyjaciela.

Zaraz po przybyciu około godziny 10 rano, udałem się do Kondratowiczów, do domku schludnego drewnianego, boć też i całe miasto jest drewniane. Wszedłem do sieni, która wychodziła na przestrzał; pierwsze drzwi wychodzącej na ulicę izby były zamknięte, wszedłem przeto do drugiej, do tak zwanego alkierza. — Zastałem w nim pannę Praksedę; siedziała odwrócona ode drzwi i pisała coś przy stoliku. Gdy na stuknięcie drzwi odwróciła się, schowała natychmiast papier do szuflady i cała zmieszana powstała zarumieniona. Przepraszałem za natręctwo i zarazem zacząłem żartować utrzymując,

że liścik zostanie przerwany i że osoba, która zapewne z utęsknieniem nań czeka, dozna zwłoki z mojej przyczyny. „Bynajmniej, odrzekła, nikt na tem nie straci, bo to nie był żaden liścik“. Gdy stąd mały spór zawiązał się, pokazała mi mały poszyt. Robiła wypisy z książki dość grubej i dodała: „Przepraszam żeś mnie Pan nad pisaniem zdybał, w naszym bowiem stanie uważają czas strawiony na pisaniu za zmarnowany, powołaniem bowiem kobiet naszych ma być zatrudnienie gospodarskie. Dlatego uważają za romansową, za wzdychającą do wyższego świata, jeśli która z miejskich dziewcząt pismem się zabawi. Czytanie zaś do książki nabożnej jest ograniczone i dlatego książki u nas są bardzo rzadkie. Pożyczyłam właśnie od księdza Sosnowskiego pisma Krasickiego i korzystajac z nieobecności chwilowej rodziców, niektóre wyjątki wypisuję...“ W czasie tej rozmowy uderzyły mnie jej skromność, jej chęć kształcenia się, i lubo nie była uderzająco piękną, ale krasa wstydu ożywiła jej twarz owalną, foremną, z oczyma niebieskiemi, ocienioną blond włosem. Wszystko to, i jej kibić wysmukła, takie na mnie zrobiło wrażenie, żem już nie był w stanie nastroić rozmowy na ton żartobliwy, a przepraszając ją za żart niewczesny, przekonany jej tłumaczeniem się, oświadczyłem ostrożnie o poleceniu, otrzymanem od pana Andrzeja. Jak przystało na swata, zacząłem wychwalać jego przymioty, dodając, że miasto nasze cieszyłoby się z przeniesienia do niego jej pobytu. Lecz im więcej siliłem się nad zalecaniem mego sąsiada, tem ja-

śniej widziałem, że moja wymowa nie trafiała do celu. Panna Prakseda słuchała jej nieruchomo, ze spuszczonemi oczyma, a gdym ją przynaglał do odpowiedzi, rzekła z prostotą: „Daruj mnie, panie Rochu, boć pana tak wszyscy nazywają, że wszystkie wysilenia pańskie nie odniosą skutku. Nie uwłaczam panu Andrzejowi, może być najgodniejszym człowiekiem, ale zważ pan, my jesteśmy ludzie ubodzy, a tylko u szlachty i panów, gdzie ubiegają się tylko za blaskiem na tym świecie, może być rzeczą najprostszą zaprzedać się staremu mężowi, on bowiem ma już czterdziestkę". „Nie — odezwałem się — przepraszam, ma obecnie 38 lat skończonych". — „Podług rachuby lat panny Petroneli zapewne pan obliczasz, która od kilku lat trzydziestki dociągnąć nie może, ale ten spór o bagatelną różnicę odłóżmy na stronę. Ja oświadczam, że nie pójdę za mąż tylko za człowieka zbliżonego z moim wiekiem i lubiącego pracować. Ja z mej strony na małem pracować i gospodarzyć potrafię, a przy wspólnej pracy, chleba nam nie zbraknie. Przedewszystkiem zaś wymagam, aby nie był bałamutem, zapominającym poprzedniej przysięgi miłości, i żeby potrafił wzbudzić we mnie przywiązanie, a w miłości i zgodzie lepiej smakuje chleb razowy, jak kołacze bez nich..."

Podwoiłem argumenta na zbicie zarzutów panu Andrzejowi czynionych. Stałem się wymowniejszy, jak dotąd, ale kiedym sięgał szczytu perory, otworzyły się drzwi i weszła panna Petronela. Głos mój zamarł w ustach, spojrzenie jej bazyliszkowe na-

wskroś mnie przeszyło. Kiedy po zrzuceniu zwierzchniej odzieży zbliżyła się, odezwała się szydersko: „Ach pięknie, Parasiu, sam na sam z młodym chłopcem, aha otóż to zgorszenie, to już nowy jakiś romansik“. „Nie — odezwałem się — mylisz się pani, ta nasza rozmowa nas samych bynajmniej się nie tyczyła. Owszem, niezastawszy szanownych rodziców, rozmawialiśmy o nieobecnej tu osobie“. — „Ach, kiedy tak — ozwała się — przepraszam i muszę przeciw pozorom dać wiarę, bo z kilku słów niechcący dosłyszanych, z wymowy pełnej zapału, nie mogłam domyślać się, że tu szło o osobę trzecią“. — „A czemużbym z zapałem nie mógł wystąpić w obronie trzeciego? Ja dotąd nie znam żywszego uczucia nad przyjaźń i nic dla mnie nie jest milszego, jak kochać, wspierać i obraniać przyjaciół“. — „A z jakiegoż to świata pan przybywasz? — z przekąsem zawołała panna Petronela. U nas przyjaciele żyją, jak koty zawiązane w worku. Tylko jedna rzecz przemawia za panem, że jeszcze młodym jesteś. Wyleczysz się z tej manii, gdy kochany i wspierany przyjaciel zamieni się w niewdzięcznika i wroga. Daruj pan, że tak zdzieram prosto pańską wiarę w przyjaźń, bo niestety, i ja tak wierzyłam, a teraz nawet przekonałam się, że i przysięga mężczyzn rozwiewa się, jak bańka mydlana“. Zmiarkowałem o kim to mowa była, a bardzo nie w porę przypadła ta przymówka. Schwytany zostałem, jak złodziej, na gorącym uczynku i nie wiem, jak dalej byłbym się wywikłał, gdyby nie ukazał się we drzwiach gospodarz wołający:

„A witajże nam, kochany Rochu“, i nie uścisnął mnie rozwartemi ramiony. Matka także serdecznie do mnie przemówiła, dodając: „Zapraszam Wacana na strawę, jaką Bóg dał, — a cóż to Parasiu, ty tu siedzisz, a w kuchni Bóg wie co się dzieje, a tu południe za pasem...“

Parasia pobiegła natychmiast do gospodarstwa, pani matka zrzuciła z siebie przyjaciółkę (rodzaj płaszczyka) i zaraz po izbie pierwszej krzątać się zaczęła. „A co — zawołał ojciec — wszak czas na gorzałkę, spiesz się Asani, wszak mamy gościa, który zaląkł się, by nie miał kół porąbanych. Zabaw się Asan z panną Petronelą, a ja tylko kontusz zamienię na kapotę, bo to mości Dobrodzieju, miałem tam sprzeczkę o granicę z panem wojskim Hryniewickim i musiałem się ubrać świątecznie, bo tam Niemcy na wizję zjechali. A ty panie Rochu daruj, że wygodniejszą przywdzieję kapotę, lubo ta będzie źle wyglądać przy twoim kontuszu, ale ja stary, a tyś młody, a nawet i ty każ przynieść kapotę, to będzie zaraz wygodniej do kieliszka... Ale ja przy pannie Petroneli mówię o kieliszku, nie ogadaj mnie Acanna, że ja do pijatyki zachęcam...“

Zaprosił mnie do izby gościnnej, niedługo wniesiono szumówkę, chleb razowy, masło, ser, gruszki suszone i ustawiono wszystko na obrusie rozesłanym na okrągłym stole z klapami, stojącym na środku izby. — „Do Wasana, panie Rochu! bo to gorzałka do śniadania, jak Ojcze Nasz do pacierza...“ Panna Petronela korzystając z przybycia Parasi, chciała pożegnać ją, ale ojciec zawołał: „Cóż to,

panno Petronelo, chcesz uciekać przed chłopcem, to się nie godzi", Parasia coś jej w ucho szepnęła, Petronela więc przysiadła znowu i przyrzekła do wieczora pozostać. Stary perorował o konfederacyi Barskiej, o Rosyanach, Prusakach i Francuzach, admirował Bonapartego, że chociaż młody, a wielki wojak i że gdzieś tam za morzami wojuje. Rozmowa stała się powszechniejszą o potocznych rzeczach. Lubo i ja mieszałem się do nich, nieraz spostrzegłem się, że byłem roztargniony, bo za gorliwie, jak na protektora, na Parasię spoglądałem. Szczęściem, że to był post i nie bałem się czarnej polewki. Obiad, lubo gospodarski, ale znać było, że gospodarz zamożny i był właścicielem stawu. Szczupak po żydowsku był wyborny. Przyniesiono nawet dzbanek wina, a czas mijał przyjemnie na rozprawach politycznych z ojcem, a o rzeczach gospodarskich z matką. Panna Prakseda nie siedziała, ale dyrygowała obiadem, a panna Petronela nie zaniedbała korzystać z chwili do dołożenia słówka złorzeczącego płci męskiej.

Po obiedzie poszliśmy do stajni i zabudowań gospodarskich. Chwaliłem wszystko, a przy każdej sposobności napomykałem o panu Andrzeju, dla wypróbowania usposobień ojca. — „Wiesz Wacan, panie Rochu (rzekł), że ja nie dzielę zdania z tymi ludźmi, co dzieci przynaglają do postanowionego przez rodziców małżeństwa. Lubo to jest zwyczajem, ja to zostawiam jejmości i mojej dziewce, a ta jejmość nabechtana przez Petrusię, nie chce dać jemu swej córki, utrzymując, że kiedy jednej przy-

sięgi nie dotrzymał, to i drugiej nie dotrzyma. A że każdy jest więcej zadowolony z zawodu, jaki sobie obierze, choć mu i bieda dokuczy, niż kiedy mu go narzucają, bo wtenczas ma na kogo narzekać, tak i ja zostawiam mojej dziewce zupełną wolę wyboru. Ot i my z Imością pobraliśmy się młodzi, było się i na wozie i pod wozem, a przecież popychamy biedę jak można, bez obrazy Boskiej. Jeszcze dziewczyna młoda, dobra i pracowita córka, znajdzie dobrego męża, pobłogosławię i niech się dzieje wola Boża... Ach, oto i sąsiad przechadza się po swoim podworcu, a zajdź do nas panie Mikołaju, mróz na dworze, a w chałupie w gromadzie raźniej będzie; a przyprowadź tam i dzieciaki".

Gdyśmy powrócili do izby, przybyło już kilkoro krewnych, wina nie zdejmowano ze stołu, ochota wraz się ożywiła. Gdy starzy zasiedli do drużbarta, kreśląc po stole dębowym pałki, okulary i rękawice, ja zbliżyłem się do panien. Panna Petronela opanowała mnie, ile razy tylko panna Prakseda osierociła mnie, zajęta gospodarstwem. Dalejże prawić o panu Andrzeju. „A czy to pan sądzisz, że ja nie wiem, że przybyłeś w dziewosłęby i wstawiasz się za wiarołomcą, ale chybaby Parasia oczu nie miała, żeby za tego starego wietrznika poszła. Lepiej żebyś Waćpan za sobą pochodził, bo kto wie czybyś nie powtórzył: nie mogłem dla ciebie, ledwie dla siebie, bo widzę, że się do Parasi przysadzasz, a stary widzę zbyt hojny, kiedy winem częstuje, boć to miodek na uroczystości nawet dają. Kto wie, co z tego będzie?..." Broniłem się jak

mogłem, ale miała nademną górę, bo czuła, że mi trafiła w sedno. Przez trzy dni jeszcze bawiłem w Kleszczelach, miotany między obowiązkiem, a rodzącem się uczuciem i złośliwe słowa panny Petroneli: nie mogłem dla ciebie, często mi na myśl przychodziły.

V.

Moje ożenienie.

Za powrotem do Bielska, zajechałem wprost do p. Andrzeja. Czekał na mnie niecierpliwie; spojrzał mi bystro w oczy, chcąc zgadnąć rezultat. Ujrzawszy mnie zachmurzonego, zamyślił się głęboko. Uściskałem dłoń jego i rzekłem:

„Biedny człowieku, teraz przekonałem się po raz pierwszy w życiu, jak łatwo jest zaszkodzić, a jak trudno dopomódz. Twoja nieubłagana nieprzyjaciółka panna Petronela, przeniknęła twą miłość i swymi zabiegami tak przemożnie wpłynęła na matkę i córkę, tak potrafiła nawet wpłynąć na ojca, że wszystkie moje przedstawienia odbiły się jak o opokę. Nie chcę cię łudzić nadzieją, bo widzę, że wróg twój, ożywiony zemstą, wszelkie przeczuwa i uprzedza zabiegi. Moje ostrożne poselstwo wytropiła i nie spuściła mnie z oka ani na chwilę, a nawet używała wszelkich sprężyn, abym zamienił rolę dziwosłęba na rolę kochanka, ale ja odepchnąłem te namowy. Zastanów się przez kilka dni nad tem, co robić ci wypada, a zawsze licz na moją pomoc...“

Interesa moje wymagały, żem przedsięwziął do

Warszawy podróż, która miała zabrać ze dwa tygodnie czasu. Nie gniewałem się na to, że zajęcie czynne a odległe zmusza mnie do skierowania mych myśli do innych przedmiotów, w walce bowiem wewnętrznej, cieszyłem się nadzieją, że czas i oderwanie się od zwykłych zatrudnień, ześlą mi zdrową radę.

Podróż moja wypadła przez wieś Augustowo, w której mieszkał mój przyjaciel Petro. Przed chałupą dojrzałem kilka wózków. Pytam o przyczynę zjazdu, odpowiedziano: chrzciny. Nimem się namyślił czy mam wejść lub nie, Petro z towarzyszami wybiegli z chałupy.

— A witajże Panie Rochu — zawołał Petro. Dowiadywałem się o was, nie byliście w Bielsku; powiedziano mi, żeście wyjechali do granicy, ale was z duszy pragnąłem zaprosić na obrzęd chrztu. Samo szczęście was sprowadza.

Zsadzili mnie z bryczki, wszedłem do dość obszernej izby świeżo wybielonej. Na miejscu honorowem siedział igumen, czyli przełożony zakonu greckiego, uściskał mnie serdecznie jako starą znajomość. Przy stole długim, ławką od ściany przegrodzonym, siedzieli zaproszeni w kumy. Posadzono mnie obok igumena, po prawej stronie siedzieli kumowie, gospodarze z tejże wsi, po lewej kumy, także gospodynie. W kącie chaty był komin z ogromnym piecem, a przed nim ceglana wystawka wewnątrz ogrzewana, przedpieckiem zwana, na której siedziała babka, jak inni nazywają akuszerka, trzymająca dziecko. Petro robił honory i nie zasiadł do

stołu, a obchodził gości. Mięsiwa i pierogów było aż do zbytku, był też i klasyczny krupnik. Domownicy w drugiej izbie uczestniczyli tej uroczystości, czyli po rusku prażnikowi. Dalibóg, patrząc na to zgromadzenie przychodziła mi myśl, po co to ludzie tak uporczywie ubiegają się za szczęściem, kiedy tak blisko kosztować go można. Już uczta miała się ku końcowi, kiedy igumenowi przedstawiłem moje przykre położenie z panną Praksedą. Petro na to odezwał się:

— Widać, tak Bóg chce, żebyś się ty, a nie Gadziński żenił, kiedy panna go nie chce, a tobie rada.

— To nie dowód — odezwał się igumen — niema nic zmienniejszego nad postanowienie kobiety młodej; a może ona z gniewu robi na przekorę. Trzeba tę rzecz nie decydować, a zostawić czasowi, a wtenczas łatwiej się zdecyduje. Biedni ludzie często przed czasem bardzo się kłopocą, a przez ufność w Bogu i przez cierpliwość, wszystko, co dziś się zdaje zawiłem, samo się tak ułoży, że dziwi się biedak, jak niewidzialna ręka, jak z płatka wywinie pomyślny skutek... Jedź w twoją podróż panie Rochu, a zobaczymy, że za powrotem i połowy z tego kłopotu nie zostanie.

Pożegnawszy mego druha, z głową pełną myśli, nie tak rzeźki, jak przedtem, puściłem się w podróż. Wszędzie po gospodach dziwiono się ze zmiany mego humoru i pocieszano, domyślając się jakiejś przygody. W Warszawie, gdzie mnie konie prowadzone na sprzedaż wyprzedziły, musiałem z konieczności zająć się wyłącznie handlem. Minęło z dzie-

siątek dni pośród roztargnienia, a wracając wstąpiłem do Krasowa [1]), już na Podlasiu, gdzie zamieszkiwał Sobolewski. Byłem raz tylko w Krasowie, i to nocą, tak, że nie mogłem dobrze zmiarkować, gdzie mieszkał p. Wojciech. Wieś, czyli tak zwana okolica, bo sama szlachta tu zamieszkiwała, ciągnęła się długą ulicą. Wjechałem do niej o 8 rano, a pierwszej dziewczyny, którąm spotkał, zapytałem, czy nie wie, gdzie mieszka p. Wojciech Sobolewski. „Nie wiem“ — odezwała się. Pociągnąłem więc ze staję dalej, a widząc szlachcica stojącego przed stodołą, zlazłem z sani i rzekłszy „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“, i odebrawszy odpowiedź „Na wieki wieków“, prosiłem o wskazanie domu p. Wojciecha. „A toż Asan — odpowie — spotkałeś jego córkę“. — „A ona odpowiedziała — dodałem — że nie wie“. „A boś asan źle się pytał, my tu bowiem z przydomków porobiliśmy nazwiska. Tu mieszka np. wielu Krassowskich, wielu nosi toż samo imię, toby trudno było rozróżnić każdego. Żebyś asan był zapytał: gdzie mieszka Wojciech Piętka? toby odrazu pokazała mieszkanie i nie potrzebowałbyś gramolić się na górę“.

Zawróciłem nazad, a tuż brodzi pan Wojciech po śniegu, słyszał bowiem, jakem się pytał córki, ale nim zdołał włożyć kapotę, jużem był odjechał. Uściskaliśmy się serdecznie, zaprowadził mnie do

[1]) Słownik geograficzny nazywa tę miejscowość Krasowo. Jest ich kilka obok siebie: K. Cząstki, K. Siódmaki, K. Wielkie i K. Wólka. Leżą w powiecie mazowieckim, tuż przy gub. grodzieńskiej

swego dworku, przedstawił jejmości... Zebrało się zaraz kilku sąsiadów, kazano wyprządz konie, weszliśmy do gościnnej izby. Jejmość uścisnęła mnie jako starego druha, posłano do arendarza żyda po wódkę; były w domu wędzone kiełbasy i szynki, bo się Wielkanoc przybliżała, ale nikt nie chciał ich dotknąć dla postu. Wszakże ja, pomimo, żem najlepszy katolik, pod względem postu byłem heretykiem, a przeto moja jajecznica tem się różniła od ogólnej, że była ze szwedami (skwarkami) i kiełbasą. Wszyscy sąsiedzi byli dobrze mi znajomi; wszczęła się rozmowa to o tem, to owem, szczególniej wypytywano się mnie o nowiny polityczne z Warszawy, bo spodziewali się co chwila, że Bonaparte przybędzie i kartoflarzy wypędzi, a przywróci dawne sejmiki i te czasy, kiedy to szlachcic na zagrodzie był równy wojewodzie.

— I asan, panie Rochu, pochodzisz z ruskiej szlachty, to mosanie jak przyjdzie Bonaparte, musisz siadać na koń, a i braciom dostarczysz koników, wszakże nimi handlujesz.

— Ha! panowie bracia — zawołałem — kartoflarze nie tak chętnie nas opuszczą, toć jeszcze dochowamy się koników, bo potrzeba nie tak nagła, jakbyśmy życzyli. Dlatego jak ma kto dobre szkapy, niech teraz sprzeda, a ja wam ich później dostarczę.

W obszerniejszej daleko izbie, niż u Petra (ściany nie były bielone, ale tylko heblowane, czysto utrzymane) był piec kaflowy niewielki, przy nim komin na którym tliły się wióry. Na środku stał stół dywanikiem przykryty; naokoło izby były ławki i stołki.

Zasiedliśmy do rozhoworów, które się ożywiały w miarę gęstszych szklanek piwa. Przy gawędzie wszedłem w układy, a następnie dobiłem targu o nabycie kilku koni i trzeba było wypić litkup. Przy rozmaitych gawędach zagadnął p. Wojciech Sobolewski:

— A wiesz co, panie Rochu, już dawno myślałem o tem, abyś się żenił ze szlachcianką którą z naszej okolicy. Wszak cię szlachta ochroniła od kowalstwa, a nadto jesteś synem biskupa i łebskim chłopakiem, to dorobisz się fortuny. A mamy tu kilka dziarskich dziewcząt, które ci w wianie mogą przynieść część szlachecką; to przecież żyć będziesz między bracią szlachtą, potomstwo twoje na łyków się nie zamieni... A jak pojmiesz mieszczankę, to zwolna zatrzesz do cna pochodzenie twoje...

Trzeba poradzić prawodawstwu, aby przy inkwizycyi zamiast chłosty, celem wykrycia prawdy, używano mocnych trunków, bo jak łeb się rozgrzeje to serce na dłoni i człowiek po pijanemu wygada się z tem, co tai będąc trzeźwym. Tak i ja ozwałem się:

— Ach, na cóż się zda wasza rada, kiedy zdaje mi się za późno.

— Jakto, ozwała się pani Wojciechowa, to już pan Roch wcześniej pomyślał o usłaniu gniazdka — a z kimże to, proszę?

Nie mogąc się wycofać, przyciskany zapytaniami, odpowiedziałem, że mylnie powiedziałem za późno, boć to było marzenie chwilowe, w czasie spełniania poselstwa p. Gadzińskiego do panny Praksedy.

— Jakto? — ozwała się pani Wojciechowa — to on miał się żenić w Kleszczelach? a przecież powiadano mi za rzecz pewną, że się żeni z panną Katarzyną Krasowską, córką właśnie tego sąsiada, co go to o nas na górze zapytywałeś, a który był kiedyś woźnym opatrznym przy sądach za polskich czasów.

— Niepodobna — odrzekłem — wszak on najszczerzej mówił, że żyć bez panny Praksedy nie może, i że w niej był na zabój zakochany, o czem przekonałem się naocznie, bo w całej szczerości wykrył mi swoją serdeczną miłość...

Wszakże ta plotka, jak uważałem, bodła mnie do żywego, i dlatego lubo prawie gwałtem zatrzymywany byłem, pod pozorem naglących interesów uprosiłem Wojciecha, aby konie kupione odesłał do Bielska, a sam jak najspieszniej wróciłem do domu.

Przybywszy późno w noc do domu, musiałem odłożyć zaspokojenie mojej ciekawości do jutra. Mój Korniłowicz zdawał mi sprawę z gospodarstwa. Odrazu zapewnił, że nic nowego nie zaszło i wszystko było po staremu, ale jak zdawał sprawę ze szczegółów, pokazało się, że złodzieje odpędzeni zostali, gdy się już wdarli do stajni, że źrebię od łysej zdechło, że przy roztopie śniegu płot od ogrodu obalił się i inne szczegóły, które mu zabrały z godzinę czasu na opowiadanie o domowych zmianach.

— A w mieście — rzekłem — nic nowego nie zaszło?

— Nic a nic panie, tylko pan sędzia Hrynie-

wiecki umarł prawie nagle, z wielkim trzaskiem pochowali go na Lipie (tak się zowie cmentarz), nowy wikaryusz też przybył, a między huzarami odkryła się wielka kradzież, i potężnie ich wypryglowano.

Mówił także, że zaraz po Świątkach, co prędko nastąpi, bo już nadchodzi Wielki Tydzień, pan Andrzej Gadziński żeni się z Krasowczanką, córką tego, co ongi był przy sądzie.

— Skądże to wiesz? — ozwałem się.

— A juści wiem, bo dawny ksiądz wikary, kiedy przychodził prosić o pozwolenie mu koni na pogrzeb, powiedział mi, że jeszcze nim stąd oddali się, odbędzie dwie duże ceremonie, to jest pogrzeb sędziego i ślub pana Andrzeja, i dodał, że zapewne pan Roch będzie drużbą.

Po oddaleniu się Korniła, zasnąć długo nie mogłem, tak mi tańczyły w bezsenności różne myśli po głowie. Nie mogłem sobie wybić z głowy, jak mógł Gadziński żenić się, kochając serdecznie inną. Obok tego przychodziła mi na myśl panna Prakseda i przepowiednia Petrusi kręciła się po myśli i wstyd stawał przed oczy, jak usprawiedliwić moje gorliwe wstawianie się za tak lekkomyślnym człowiekiem.

Nazajutrz jak najwcześniej pobiegłem do pana Andrzeja i zawiadomiłem go o wieściach mnie doszłych.

— A prawda — odezwał się! — Wiedz druhu, że najsilniejszą ze wszystkich popędów jest zemsta; przez zemstę żenię się, a panna Petronela pęknie ze złości, jak dowie się, żem się ożenił. Postano-

wiłem też zawrzeć śluby z największą jej nieprzyjaciółką. Mój drogi, im dalej idzie człowiek w lata, tem namiętności miłosne słabieją. Po pierwszych chwilach przebolałem odmowę panny Praksedy, ale na złość jej przyjaciółce pokażę, że nie zginę z odmowy. Wiedz, mój kochany, że na dziesięć małżeństw, ledwie pięć zawiera się z miłości, bo albo syn podług rozkazu rodziców się żeni, albo zawierają małżeństwa z rozumu, a często bardzo tak, jak ja robię, przez zemstę. W życiu mojem przekonałem się, że miłość ze mną nie pasuje. Dlatego zatargowałem kilka panien (bo to moja choroba zaraz obcesowo się brać, żeby miłość nie ostygała przez odwrót), ale zawsze jakieś licho stało na przeszkodzie, a targu nie dobijałem i albo sam dobrowolnie porzucałem, nęcony nowem uczuciem, albo odkosza dostawałem. Teraz mając palce przeze drzwi ściśnięte, robię pędzony gniewem. Jak ten pływak, co przyszedłszy bodaj nawet nad zimną wodę, nie zastanawia się, ale prosto na łeb rzuca się w rzekę, i pływa i kąpie się; i ja żeby przestać bałamuctwa, zaraz pomyślałem, że panna Krasowska może na mnie czeka, podburzyłem ją przeciw Petrusi, wystawiłem do jakiej ją to doprowadzi rozpaczy, wreszcie oświadczyłem się i przyjęty zostałem. Żenię się i basta, i tak czy trochę będzie przyzimno czy nie, pływać będę w stanie małżeńskim, a zatykam uszy na wszelkie pokusy. Dlatego to ślub zaraz będzie po Świątkach i zapraszam Ciebie na drużbę.

„Widzę — dodał — że jesteś pełen podziwu nad mojem postępowaniem, co tylko dowodzi, żeś

nie starł jeszcze młodzieńczego zapału, ale jak dojdziesz do lat moich, mniej się dziwić będziesz...“

Nie dzieliłem zdania p. Andrzeja, ale jakiś egoizm mnie skłaniał od wstrzymania się od perswazyi. Rzekłem sobie w duszy: Teraz mogę spróbować znakomitej maksymy: nie mogłem dla ciebie, ledwo dla siebie...

Niebawem nadeszła Wielkanoc. Zaraz po przewodniej niedzieli odbył się ślub p. Andrzeja, a wtenczas wolny od ciężaru, który mnie aż do ślubu przygniatał, dojeżdżałem kilka razy do Kleszczel. Przyjęty mile, coraz bliżej zawiązywałem stosunki i widziałem z ócz Parasi, że obojętny nie byłem. Miała siostrę Juliannę w Bielsku, zamężną za Krzysztofem Witerskim, znakomitym jak na partykularz malarzem, który robił niezgorsze portrety, ale częściej po dużych dworach przyozdabiał ściany. Otóż panna Prakseda z matką na czas jakiś do niej przyjechały. Ojczym mój już od roku nie żył, łatwo przeto uprosiłem matkę moją, że podjęła się mnie wyswatać. Interesy szły jak z płatka, lubo przyznaję się nierzetelnie wykazywałem, że więcej mam majątku, niż rzeczywiście go miałem. Odwołano się do ojca w Kleszczelach. Padłem mu do nóg, uściskał mnie i pobłogosławił właśnie wtedy, kiedy z kąta Petrusia cedziła przez usta szyderczo: nie mogłem dla ciebie. Za miesiąc dzień ślubu oznaczono. Wyprawa nie tak długiego czasu wymagała, bo nie sadzono się na bogactwa, ale suknie

grodeturowe [1]) przez całe życie służyły i teraz nawet dla córki pozostały. Ja urządzałem gospodarstwo i porządek domowy tak, aby pozornie kłamstwo moje na jaw nie wyszło, ale napatrzyłem się, że to nie ja sam jeden tak zrobiłem, że to jest prawie ogólna słabość w daleko wyższym stopniu. Wieluż to bowiem konkurentów za pożyczone od żydów pieniądze sprawiało cugi i liberye, żeby się strojnie okazywać pannie młodej i rodzicom, a później spłacało się to z posagu panny młodej... Widać na tym biednym świecie wiele rzeczy dzieje się oszukaństwem. Może to kiedyś nastąpi, że szczera prawda zajmie miejsce fałszu i podejścia, ale chyba wtenczas gdy antychryst przyjdzie i jeździć będzie po świecie w rozpalonym piecu.

Wytargowałem, że na wesele zostaną zaproszeni moi przyjaciele Sobolewski i Petro. Trochę krzywiono się na „chama“, ale tak gorąco przedstawiłem zacność jego, że nie chciano mnie pozbawiać jego asystencyi. Ślub odbył się dnia 3 maja 1800 roku, przy licznej gromadzie gości, hucznie i ochoczo. Nie będę opisywał godów, bo zajęty wyłącznie Parasią, nie pamiętam szczegółów, a Petro nietylko mnie nie zawstydził, ale zdrowym rozsądkiem i szczerotą tak zwrócił na siebie uwagę, że mi winszowano nawet, że się nie kajałem bratać ze stanem niższym od mieszczan.

---

[1]) Z metaryi jedwabnej. „Gros de Tour“.

VI.

Pierwiastki pożycia małżeńskiego.

Rozpocząłem pożycie w parze małżeńskiej. Początkowe lata przechodziły tak, jak miodowe miesiące, w samym kwiecie wieku obok młodej i ukochanej małżonki. Interesa szły pomyślnie. Skupowałem dużo koni, kilkanaście wozów lnu i konopi prowadziłem do Gdańska i do Elbląga, gdzie również z zyskiem sprzedawałem konie, a przywoziłem mile przyjmowane przez żonę porządeczki i podarunki. Wszystko szło raźnie jak z płatka. Bóg zaczął mnie obdarzać potomstwem, żona zajęta była całą duszą gospodarką, pobyt w domu był dla mnie prawdziwym rajem. Już zebrałem znaczny kapitalik, więc nabyłem w samym rynku jeden z najpiękniejszych domów, i urządziłem go w widokach, aby pomnażającej się rodzinie było wygodniej, niż w szczupłym dziedzicznym domku. Założyłem tedy obszerny ogród i pozaprowadzałem najlepsze gatunki drzew; w obszernym dziedzińcu pobudowałem stosowne do rozszerzonego handlu końmi stajnie, nowomodne, bo z pruskiego muru. Codziennie też zyskiwałem na poważaniu. Już nietylko szlachta cząstkowa, ale zamożni obywatele powiatu lubili

pana Rocha. Słowem wszystko do mnie uśmiechało się, i zapowiadało przyszłość błogą. Dom mój bywał licznie nawiedzany, jedni bowiem pragnęli nowin z oddalonego świata za powrotem z moich częstych wycieczek, inni przybywali na nowalijki; zgoła dla różnych przyczyn ludzie lubią asystować pomyślności, a od biedy uciekają.

Żadna obawa i ochota nie mogła się obejść bez zaproszenia pana Rocha i Rochowej. Zdarzały się różne hulatyki, jedną z nich szczególniej pamiętam. Pocztmistrz Kozłowski wybudował był obszerny dom z kolumnami i z salą przeznaczoną na zabawy i nazwał go Szałagojdą; tam zbierali się licznie i Polacy i urzędnicy pruscy. Młodzież zabawiała się tańcami i grami towarzyskiemi, poważniejsi grali w ćwika, a starsi w drużbarta, Niemcy grywali w narodową grę tryktraka; był nawet i bilard, którego Prusacy szczególniejszymi byli zwolennikami. Jedni wołali węgrzyna, inni ponczu i piwa, a kobietom donoszono kawę, a czasem lekki ponczyk. Często jednak zdarzało się, że zachodziły sprzeczki pomiędzy polską ludnością a Niemcami. „Bij, bo to Niemiec“, rozlegały się nieraz głosy. Trzeba oddać sprawiedliwość, że kiedy dochodziły rzeczy do tej ostateczności, pudrowane głowy i harbajtle wynosiły się ze swemi połowicami, mrucząc pod nosem „Verfluchten Polen“. Nieraz udawało mi się rozejm zrobić pomiędzy zwaśnionymi, obracając spór w żarty, i zamiast gniewu i bójki nastawała pijatyka przy zawieszeniu broni. „Na zgodę dla dania dowodu, że Niemców szanujemy, wypijemy dziś wazę pon-

czu“ — wołałem, poczem Niemcy rozochoceni i do węgrzyna się brali, i nieraz z pogodzonymi spełnialiśmy nasze staropolskie „kochajmy się“. Tym razem widać, że to „kochajmy się“ za gorąco obchodzono, bo już nie pamiętam jakim sposobem znalazłem się przy studni na mojem podwórzu. Gdy się obudziłem w korycie, w którym zwykle pojono konie, przytrzymany lodem wzywać o ratunek musiałem i dopiero za pomocą ludzi nadbiegłych ze stajni, powstać mogłem. Zaszedłem rezolutnie do domu, ale przeziębnięty. Burę od żony załagodziłem pocałunkiem, ale nie mogłem pocałunkiem pozbyć się choroby, która mnie przez kilka tygodni trzymała, że ledwom się z życiem uprosił. Ta długa choroba wywołała rozmyślanie, że należy być umiarkowańszym i nie trzeba ufać w ślepe powodzenie. Przychodząc bowiem do zdrowia, dowiedziałem się, że mi parę najpiękniejszych koni skradziono, i że jeden się przebił, trafiwszy w biegu na sterczącą żerdź, blisko wrót stajennych. Wysyłka chmielu do Warszawy, przez zapalenie się jednej osi, zamiast zysku stratę mi przyniosła, — a nawet w piwnicy przez złe zakręcenie kurka, prawie cała beczka wódki wyciekła, aż się kaczki podusiły. Zgoła były to nowiny, które pierwszy raz po mojem ożenieniu boleśnie odczułem. O mało nie dostałem recydywy ze zmartwienia, bom sobie wyrzucał winę, ale Petro przybył i opowiadaniem swoich przygód, które go omało o zgubę nie przyprawiły, rozpędził czarne myśli, bo widząc, że go Pan Bóg pocieszył, i ja o tem marzyłem. Dałem sobie słowo, że więcej

mnie do pijatyki nie wciągną, ale jak się pokaże, zapomniałem nieraz o tem przyrzeczeniu.

Po powrocie do zdrowia, zająłem się znowu ochoczo, dla zabliźnienia strat, do pracy. Jakoś to już był rok 1805. Wrzała wówczas wojna między Francyą a Austryą i Rosyą; wieści biegały, że i Prusy mają mieć w niej udział. Nad Bugiem w Austryi gromadzono wielkie magazyny zbożowe, Prusacy też takowe urządzali. Zaproponowano mi, żebym się podjął antrepryzy, a lubo nie miałem dosyć gotówki na takie przedsięwzięcie, dopożyczył mi znaczną sumę Sobolewski i podjąłem się znacznych dostaw. Energicznie wziąłem się do dzieła nowego, i nie tylko do magazynów pruskich, ale i austryackich robiłem dostawy, bo rząd pruski do tego mnie zachęcał i ułatwiał mi przedsięwzięcie. Płacono dobrze i bez odwłoki, tak, że lubo w części zaniechałem handlu końmi, jednakże zbijałem kabzę bardzo pospiesznie. Cały rok miałem roboty bardzo wiele. Później była przez chwilę stagnacya, bo wojska rosyjskie wróciły do swego kraju po krwawych bitwach, Austryacy przyciśnieni pokój zawrzeć musieli [1]), a Prusacy przycichli. Ten zwrot o mało że szkodliwym mi nie był, bo zbyt pospiesznie większe obstalunki porobiłem, niż obecnie rząd wymagał. Kazano wstrzymać dalsze dostawy. Szczęściem dla mnie w r. 1806 na nowo czynność się wzmogła, zapełniałem dalsze magazyny, ale już

---

[1]) Austerlitz 2 grudnia 1805, pokój w Preszburgu 26 grudnia t. r.

ostrożniej działać począłem, i powstrzymałem popęd zbyteczny.

Żona moja wpływała przeważnie na to umiarkowanie i widząc, że gotówki w kufrach miałem ze dwakroć sto tysięcy złotych, ze łzami błagała, abym zupełnie poprzestał antrepryz. Wystawiając, że już raz o mało gorzkiej nie miałem nauki, przedstawiała, żeby kupić majątek, bo „grosz na glinie nigdy nie zginie“; karesów i perswazyi serdecznej nie szczędziła, abym poszedł za jej radą. Ale antreprener tak jak gracz i pijak, nie łatwo powstrzymuje się w zapędach, a zresztą my mężczyźni nie oceniamy dość rad żon naszych z serca pochodzących i zasłaniamy się naszym rozumem. Miłość własna i tu przemogła, bo już się wahałem.

— Jakto — ozwałem się — w samem rozkwitnieniu chcesz porzucić tak świetny interes? Szczęście samo lezie mi w ręce, — zobaczysz Parasiu, że za lat parę zbiorę cztery razy większy fundusz. Wszak aż trzy dwory: pruski, austryacki i rosyjski gwarantują wypłatę, cóż więc może być pewniejszego pod słońcem.

Kiedy po moich wysileniach przekonania jej, że głupstwem byłoby uciekać przed tak świetną przyszłością, Parasia powtarzała wciąż swoje prośby, doszło do tego, że się rozgniewałem na nią i wyszedłem z domu. Niestety, dalsze wypadki sprawdziły jej przewidzenia, i gdybym był poszedł za jej radą, zapewniłbym i sobie i dzieciom piękną przyszłość i spokój, a tymczasem moja zarozumiałość obróciła się na złe. Zapóźno spostrzegłem, że

dobrze jest słuchać rozumu, ale nie trzeba odpychać rad rozsądnej żony z serca pochodzących.

Wybiegłszy z domu, szarpany byłem niepewnością. Odbijały się o uszy rady żony i nieraz chciałem wrócić i uchwalić coś pośredniego między jej żądaniem a postanowieniem mojem, ale gdym wszedł w grono osób, które mnie popychały do antrepryz, stanowczo przedsięwziąłem wziąć jeszcze nową antrepryzę.

Nowo przedstawiona dostawa wymagała nietylko włożenia całego mego zapasu, ale musiałem pootwierać sobie kredyta. Z początku rzeczy szły porządnie, jak należy, ale gdy wojna Prusaków z Napoleonem zły obrót przybrała i główna przegrana pod Eylau [1]) rozprzęgła naturalny bieg interesów z centralną władzą, wypłaty nie następowały i znalazłem się w przykrem położeniu. W dalszych wypadkach Białostockie przeszło pod panowanie Rosyi. Byłem pewny, że moja należność święcie mnie dojdzie, bo i Rosya gwarantowała wypłatę. Ale na moje nieszczęście zaszła korespondencya między rządami kto ma te wpłaty uiszczać. Otrzymałem wprawdzie kwitancyę na przeszło 45.000 rubli srebrem, ale opłaty procentów, koszta i zatrudnienia podejmowane w celu rychłego zrealizowania tej kwitancyi, zbiły mnie z toru, a jak raz urywać się zaczęło, już do dawnej równowagi

---

[1]) 7 i 8 lutego 1807. Po zgnieceniu Prus przez Napoleona, Aleksander I przyszedł im z pomocą. Bitwa pod Eylau (Iłowo), była jedną z najkrwawszych bitw napoleońskich, nie rozstrzygnęła jednak losów wojny. Dopiero Friedland (4 czerwca) doprowadził do zawieszenia broni i pokoju tylżyckiego. K. B.

przyjść nie mogłem. Dorozumiałem się powoli, że to na złe mi wyjdzie. Ale mądry Polak po szkodzie.

Z czasów mojej dostawy zboża i furażów dla wojska utkwiła mi w pamięci jedna anegdota feldfebla rosyjskiego. Kiedym go się pytał o losach wojny po bitwie pod Eylau, on odpowiedział: „Etot Napoleon sukinsyn eto stal, nasz hosudar żeliezo, cysar (Austrya) sołoma, a korol pruski niczewo nie stoit“.

Bardzo dosadny obraz ówczesnej Europy.

Pomimo, że zwycięstwa Francuzów były szkodliwe moim interesom, z całą radością tak, jak wszyscy mieszkańcy miasta Bielska, i z całym zapałem przyjmowałem oddział wielkiej armii Napoleona, składający się z Bawarczyków. Zajęcie okolic naszych przez wojska francuskie niedługo jednak trwało. Wcieleni do Rosyi, ulegliśmy organizacyi nowej, a ja tymczasem musiałem się krzątać około skupienia wszelkich funduszów i na nowo urządziłem handel końmi i rozmaitymi produktami, żeby połatać dziurę zrobioną przez wpakowanie talarów w dostawy do magazynów.

Senator Theyls został przysłany z St. Petersburga na organizatora dawnej regencyi Białostockiej, której część weszła do składu obwodu Białostockiego, a część, jak Łomża i Tykocin, weszły w skład utworzonego Księstwa Warszawskiego. Obwód nasz traktatem Tylżyckim z 29 lipca 1807, złożony z czterech powiatów: Białostockiego, Bielskiego, Drohickiego i Sokolskiego miał być uorganizowany na wzór prowincyj litewskich. Urzędnicy jednak nie

w asygnatach, ale w srebrze pobierali pensye, a przeto o cztery razy więcej, niż koledzy litewscy, bo asygnaty wówczas stały 25 za sto. — Obszerność tego obwodu jest mil kwadratowych 206 i 200.000 ludności, a przeto był za mały, żeby gubernię stanowił.

Na czele rządu prowincyi utworzono Rząd gubernialny pod prezydencyą gubernatora. W powiatach zarząd oddano na miejsce landratów kapitanom sprawnikom. Gubernatorem pierwszym był Polak, Szczepanowski. Sprawnicy prawie ogółem byli Polacy. Miastami od korony rządzili wyłącznie policyjni horodniczowie nasyłani z dymisyonowanych wojskowych rosyjskich, administracya zaś miasta składała się z obieralnych mieszczan, pod naczelnictwem również obieralnego „głowy". Sądy miejskie składali również obieralni sędziowie, pod naczelnictwem burmistrza na trzy lata obieranego; rozpoznawały one sprawy mieszczan. Statut litewski został kodeksem krajowym. Procedura była w polskim języku tak, jak i w sądach szlacheckich, które z wyboru pochodziły i składały się z asesorów i sędziego prezydującego i zwały się Sądami Ziemskiemi; podobnymże sposobem tworzyły się sądy kryminalne, zwane grodzkiemi. Apelacye szły od sądu grodzkiego do Departamentu głównego spraw kryminalnych, a od sądu ziemskiego do Departamentu głównego spraw cywilnych. Procedura była publiczną i adwokaci wnosili sprawę przed kratkami publicznie. Jeden był jeszcze urzędnik z większą daleko prerogatywą, jak niegdyś Instygatorowie,

a był nim strapczy, zwykle Rosyanin; zwano go pospolicie „okiem monarszem“, bo we wszystkie sprawy miał prawo się mieszać, dla dopilnowania, aby wszystko szło prawnie. Porównywując przeto obecną administracyę z przeszłym rządem, zyskaliśmy wiele, bo wszystko prawie odbywało się w języku polskim, a nawet czynności, odbywane w języku rosyjskim w gubernii, były dla nas bardziej zrozumiałymi, jak niegdyś gdy sądy i administracya w niemieckim języku, zupełnie obcym, agitowały się.

Wszakże straciliśmy także nie mało, bo rosyjscy urzędnicy wprowadzili dawne swoje nałogi, to jest opryskliwość i rozliczne sposoby wyciągania różnymi sposobami datków, a przeto w porównaniu z pruskimi urzędnikami tracili na szacunku. Zazdrościliśmy też naszym braciom z za Bugu, którzy wszedłszy w skład Księstwa Warszawskiego, zorganizowani zostali z samych Polaków bez żadnej przymieszki. Człowiek jednak muru głową nie przebije — trzeba było poprzestać na losie przez niezależne od nas wypadki narzuconym. Zjechali się naprzód obywatele ziemscy i wybrali na sejmiku, przypominającym nieco dawne czasy, marszałka, deputatów, sprawnika, sędziów i asesorów. Następnie przystąpiło miasto do obioru „głowy miasta“, burmistrza i ławników. Mnie spotkało, że jednomyślnie zostałem obrany głową, a lubo ta posada była honorową i bezpłatną, podjąłem się jej i widać, żem postępowaniem mojem zasługiwał na względy, kiedy przez następne dwa „triennia“ zo-

stałem na tęż posadę wybierany, a nawet po pauzie trzechletniej pełnię ją dotychczas.

Całe życie moje i mam nadzieję, że tak dotrwam do śmierci, nie zmieniałem ubioru narodowego na obcy. Senator Theyls, urządzający organizacyę obwodu Białostockiego, wezwał do siebie na naradę marszałków powiatów i głowy miast. Przybyłem w kontuszu; żupan nosiłem biały, kontusz zielony z ponsowymi wyłogami, buty nie kolorowe, ale czarne, a przy litym pasie błyszczała dosyć bogata karabela. Kiedym się stawił przed senatorem, po zakręceniu jeszcze nadobnego podówczas wąsa, i zrobiłem ukłon moją białą konfederatką, uważałem, że szczególniejszą na mnie zwrócił uwagę. Zaczął senator do nas przemowę, udzielając wszystkim urzędnikom szczególnych instrukcyi, a kiedy zwracając się do urzędników miejskich oświadczył, że powinniśmy być powolni poleceniom horodniczych, ścisnąłem wówczas silnie karabelą i potrząsnąłem nią, chcąc się odezwać. Gdy senator obrócił się do mnie, zapytując czego szablą wstrząsam, odpowiedziałem: „Nie myślę być głową, jeśli to ma być ściśle wykonywane. Chętnie stosować się będę do poleceń, jeżeli te będą zgodne z prawem, ale jak horodniczy będzie postępował przeciwko dobru miasta, które w ręce moje złożyło obronę swoich swobód, wtenczas poleceń nie spełnię“. Zmarszczył się senator, ale powoli wypogodził czoło i dodał: „Bądźcie pewni, że rząd waszego dobra pragnie, ale należycie pojętego. Horodniczy, jest okiem rządu, i wtenczas tylko zajśćby mogła ko-

lizya, gdyby wasze wymagania stały na przeszkodzie dobru Państwa całego". Zapewniłem, że miasto w razach ogólnego dobra zastosuje się, ale dodałem, potrząsając znowu szablą, że potrafię zawsze skłonić horodniczego, aby podług swych kaprysów i widzimisię, nie czynił nic, nad prawo. Widać, że moja energia i śmiałość, bo jeden tylko wśród wszystkich urzędników odzywałem się, zniewoliła serce senatora ku mnie, bo mnie jednego tylko z urzędników miejskich, wraz z marszałkiem zaprosił na obiad, i odtąd w wielkiem byłem poważaniu u wszystkich członków gubernii.

Z przemianą rządu musiałem się udać do właściwej władzy z upomnieniem się o należne mi około 50.000 rubli, za dostawę żywności i furażów dla wojsk pruskich i rosyjskich. Przesłano moje prośby do St. Petersburga, a lata upływały na dochodzeniu. Gdy gubernator Szczerbinow został powołany do stolicy, dałem mu plenipotencyę, celem czynniejszego dochodzenia umowy, ale pomimo wielkich kosztów ciągnął się ten interes bardzo długo, a mnie zbywano tem, że z rządem pruskim prowadzi się korespondencya.

Moje czynne i skuteczne wstawianie się za prawami miasta i utrzymanie w karbach chcących wybuchnąć i korzystać z przewagi zmieniających się często horodniczych, również uzyskiwanie względów u gubernatorów i rządu gubernialnego, nadwerężyło jeszcze mocniej kieszeń moją i reszty zachowanej dotąd zamożności. Kochany byłem od wszystkich, bo u mnie był stół otwarty, a każdy znajdujący

u mnie ugoszczenie, otwarcie przynajmniej nastawać na mnie nie mógł.

Wojna, a raczej przechód wojsk rosyjskich w r. 1809 [1]) cokolwiek mnie znowu zapomógł. Chociaż mniejszą antrepryzę prowadziłem i na koniach nie źle zarobiłem, ale nie było świetności takiej interesów, jak w roku 1806. Żona moja już nie mogła się pocieszyć, bo jej faworytalnej myśli kupienia majątku ziemskiego już spełnić nie mogłem, tembardziej, że prowadziłem zbyt kosztowny sposób życia, a moje tłomaczenie, że takim sposobem zyskuję kredyt i przyjaciół, wywoływało tylko na jej ustach szyderczy uśmiech niewiary... Muszę tu dodać, że mając z natury bas czysty i silny, lubiłem w czasie nabożeństwa śpiewać na chórze kościelnym; śpiewywała tamże przebiegła kokietka niejaka Kocówna. Być może, że żona moja była jasnowidzącą, bo mnie odstręczała od chóru, zapowiadając, że z tego może wyniknąć bałamuctwo. Zaprzeczałem najsolenniej wszelkim zarzutom i podejrzeniom, ale to nie trafiło do jej przekonania. Na nieszczęście w małych miastach sekretów niema, jest wiele miłościwych osób, co całe życie zajmują się obcemi sprawami, a każdy skandal chociaż przypadkowy i żałowany, tak niemiłosiernie w rozmaite wzory bywa haftowany i wzrasta tak olbrzymio, że biedna moja żona, nasycona powieściami różnorodnemi, przychodziła do udręczeń trudnych do opi-

---

[1]) Wojsko rosyjskie szło do Galicyi niby na pomoc Napoleonowi, jako sprzymierzeńcowi. Wiadomo czem się ta pomoc okazała.

sania. Po zaręczeniu, że nie mam żadnych związków z Kocówną, uciekałem od niej, jak od ognia; ale raz był już zadany i moja skrucha nie mogła wyrwać z serca mej żony kolca, który za głęboko utkwił, a pocieszycielki łaskawe ten tylko miały zamiar, aby miały nowy materyał dla plotek.

Bóg mnie pocieszył, że w roku 1810 część trzecią mojej należności ze skarbu cesarstwa otrzymałem. Byłem w stanie wszystkie długi spłacić, co robiąc, dobrzebym uczynił, ale Sobolewski nie chciał odbierać, mając dobrą prowizyę i tłomaczył, że jak resztę dostanę, co zapewne nie tak długo nastąpi, wtedy dopiero odbierze, a teraz lepiej dla mnie, że będę miał większy kapitał w ręku na poparcie i odebranie reszty. Jakoż uspokoiwszy innych wierzycieli i przesławszy sumę na dalsze popieranie interesu, nie tak mi wiele zostało, a wciągnąwszy się w życie wystawniejsze, utrzymując świetnie rolę reprezentanta miasta, spostrzegłem niedługo, że mój fundusz jak śnieg topniał.

Jakoż bowiem i okoliczności ku temu służyły. Stała u nas dywizya huzarów, złożona z pułków Achtyrskiego, Pawłogradzkiego i Szumskiego. Generał, pułkownicy i sztab cały, znęcani moją wesołością i dowcipem, często mnie nawiedzali i tak kochali, jak cała szlachta. Musiałem nieraz zatem występować, boć i ja zapraszany byłem, a nawet na chrzciny jednego z synów wielki festyn dać musiałem, bo generał ofiarował się być kumem.

Horodniczy ówczesny chciał cichaczem ze mną zadrzeć, ale kiedy w czasie prowadzonej komisyi

sam na sam z nim znalazłem się, dałem mu potężne cięgi, a nie mógł tego udowodnić, bo świadków nie było, — i odtąd wyrzekł się zaczynać. Wszyscy mnie kochali, życie szło wesoło, ale żona moja coraz traciła na humorze i często wpadała w melancholiczną zadumę. Niestety nie oceniałem wówczas jej położenia; roztargniony zawsze, mało zwracałem uwagi na niebezpieczne skutki stąd wyniknąć mogące.

Jakoż w r. 1811, żona moja dostała istotnego obłąkania umysłu. Mnie nawet nie dozwalała przystąpić do siebie. Jej okrzyki najczęstsze były: Kocówna! Noce trawiła bezsenne i hałaśliwe, dzieci nieraz rozpędzała i uganiała się za niemi, ale ich nigdy nie biła. Ztąd nastał w domu wszędzie nieład, goście odstrychnęli się. Trzeba się było wziąć do kuracyi, i na ten cel umieściłem ją przy familii w Kleszczelach, tam bowiem mieszkał zdolny lekarz, a ja często dojeżdżałem.

W domu trzeba się było inaczej urządzić, by mieć czujną opiekę nad dziećmi. Matka moja, której miłość obudziła się po śmierci ojczyma, tyle dawała oznak macierzyńskiego przywiązania, że jej cały zarząd domu poruczyłem. Moja biedna Parasia, dzięki staraniom doktora Pileckiego, powracała widocznie do zdrowia, i przez całą zimę, a nawet i rok następny prawie zupełnie była przytomną. Jedyną pozostałością choroby była zaduma, często po parę godzin trwająca, ale głos dzieci najczęściej ją przebudzał. Zatrudniała się gospodarstwem, jak zwykle, tylko dozór nad dziećmi nie był tak czujny.

Dopuszczały się licznych figlów, a najstarsi brali w skórę za to, że przewodzili innym. Musiałem częściej, jak przedtem, zwracać na nie uwagę, a mój głos gromki zawsze małą rodzinę do porządku sprowadzał.

VII.

Rok 1812.

Wśród urzędowania i zajęcia interesami materyalnymi, wśród zabaw i zmartwień w różnych kolejach losu, jakich każdy doświadcza w życiu, zaczął się rozchodzić rozgłos o wojnie pomiędzy Rosyą a Francyą, skoalizowaną prawie z całą Europą. Wojska coraz liczniejsze zbierały się u nas, jako w miejscu blisko granicy położonem; zakładano magazyny i widocznie przygotowywano się do wojny. Z pobliskiego Księstwa Warszawskiego dochodziły nas różne posłuchy, a jakto zwykle u nas, każda najmniejsza nadzieja polepszenia bytu krajowego zmieniała się w najświetniejszą przyszłość i w obrazy urocze. Młodzież w znacznej liczbie przedzierała się za granicę, a rozliczne podszepty ożywiały nas bezprzestannie. Tak zeszła wiosna. Odgłos wojny coraz był wyraźniejszy, mówiono już o Wielkiej Armii zgromadzonej w Księstwie Warszawskiem, i o przybyciu Napoleona do Warszawy. Naraz wezwani zostaliśmy, ja jako głowa miasta, burmistrz Sosnowski i pocztmistrz Kozłowski, abyśmy się stawili u księcia Wasilczykowa, głównodowodzącego wojskami u nas konsystującemi. Gdyśmy się sta-

wili w głównej kwaterze, rozkazano nam być natychmiast gotowymi do wyjazdu wraz z wymarszem wojska, i dodano nam orszaki, które nam odjęły możność ucieczki. Wybraliśmy się jeszcze dnia tego i na furmankach nam udzielonych, musieliśmy puścić się w drogę. Taki sam rozkaz otrzymali urzędnicy powiatowi. Pocieszano nas, że niebawem wrócimy, bo to jest tylko manewr wojenny, aby nieprzyjaciel, wkraczający do kraju, żadnych władz nie zastał.

Gościnność, jakiej książę Wasilczykow doświadczał w domu moim, kiedy mnie zaszczycał przybywaniem, ośmieliła mnie do przedstawienia, że obecnie jestem bez zapasów pieniężnych. Kazał mi zaawansować ze swej kasy rubli 200, i w dalszych etapach, które wraz z wojskiem robiliśmy, zaszczycał mnie względami. Wszakże noclegi trzeba było odbywać często pod gołem niebem. Szczęściem dla nas, że to się działo w miesiącu czerwcu, bo w wigilię Bożego Ciała ruszyliśmy z miejsca.

Trzeba było poprzestać na losie, jaki wypadł. Smutno było porzucić dom i familię, ale mając znajomość z wielu oficerami, jak mogłem pocieszałem się. Po tygodniowym blisko marszu, przybyliśmy do miasta Słonima o 20 mil od Bielska odległego. Gwałtowne poruszenie wojska, sprawione zbliżaniem się wojsk francuskich spowodowało, że o nas zapomniano. Ja z Sosnowskim byliśmy wówczas na nabożeństwie, schroniliśmy się więc w zakrystyi, a proboszcz, obawiając się odpowiedzialności, zaproponował, abyśmy się schowali na naj-

wyższą część wieży. Choć nie byłem szczupły, ale dosyć podtatusiały, jakoś jednak przez drzwiczki wąskie przesunąć się potrafiłem; zato mój kolega Sosnowski daleko był otylszy i ledwo się przecisnął przez tak szczupły otwór. Zakrystyan dostarczał nam pożywienia i napoju, ale przez trzy dni dowiedzieć nie mogliśmy się o żadnej pomyślnej dla nas nowinie. Jedyną rozrywką naszą było wyglądanie przez otwory, znajdujące się w murze, skąd tylko czasem łuna od pożarów wsi zwracała chwilami naszą uwagę. Dopiero trzeciego dnia wpadł do nas zadyszany zakrystyan w nocy, zwiastując, że Francuzi miasto zajęli. Radość nastała po troskach, i po modlitwach bezprzestannych, bo zapewne przez całe życie tyle nie odmówiłem pacierzy. Z tej radości małośmy nie pospadali ze schodów, jednakże dostawszy się szczęśliwie na dół, naprzód ucałowaliśmy ziemię i podziękowaliśmy Bogu za nasze ocalenie, a potem zameldowaliśmy się komendantowi, który wydał nam bilet do powrotu do domu. Znalazł się nasz trzeci kolega Kozłowski, który schował się w stóg siana, przed magazynem rozrzucony. Opowiadał, że mając nieszczęśliwy nałóg częstego czmychania, nie mógł się od niego wstrzymać. Kozacy sądząc, że to kot odzywa się, chcieli go dosięgnąć dzidami, ale szczęściem jakoś uniknął nieprzyjemnego ukłócia.

Kiedyśmy się już wolni znaleźli, szła rzecz o to, jakim sposobem znaleźć się z powrotem u siebie, albowiem wszyscy byliśmy należycie goli. Szczęściem, że miałem jeszcze fundusz udzielony mi

przez księcia Wasilczykowa. Kupiliśmy wóz i konia chłopskiego z zaprzęgiem, a tak połowę jadąc, a połowę i to na przemian piechotą idąc, po tygodniowej prawie podróży stanąłem wraz z towarzyszami w domu. Wchodząc w próg ucałowałem ziemię, uściskałem żonę, popieściłem z rozkoszą dzieci i Panu Bogu serdecznie podziękowałem za powrót szczęśliwy do rodzinnego gniazda.

Po obejrzeniu domowych zakątków, i po złożeniu podziękowania współobywatelom, którzy okazali radość z naszego powrotu, zrobiłem znajomość z kapitanem saskim Troschkem, komendantem oddziału piechoty konsystującej w Bielsku. Dowiedziałem się, że gubernatorem obwodu białostockiego jest generał Ferier. Pod Prużaną była kwatera korpusu austryackiego pod wodzą feldmarszałka Szwarcenberga. Prowincya przeto nasza mało widziała Francuzów, chociaż widzieliśmy wojska holenderskie, włoskie i hiszpańskie w następnych przechodach, a korpus austryacki w wielkiej części składał się ze Słowian, których mogliśmy rozumieć. Podprefektem powiatu bielskiego został możny tutejszy obywatel Suchodolski, ja zaś zostałem prezydentem miasta i dowódcą gwardyi narodowej. Moja komenda nie składała się z porządnego hufca, ale wybrałem ze stu ludzi, którzy bez ubrania mundurowego wartę zaciągali, a raz nawet byli w ogniu, a to tym sposobem:

Wieść się rozeszła, że oddział kozaków pokazał się w pobliskich wioskach... Trzeba bowiem wiedzieć, że kiedy armia Napoleona posuwała się za

Smoleńsk po zdobyciu tego miasta, armia Czyczagowa po zawarciu pokoju z Turcyą od granic południowych obróciła się w nasze strony i oddział kozaków, ukazujący się już blisko do niej należał. Od Bielska Puszcza Białowieska rozpoczyna się o dwie mile, a w tej puszczy nadstrażnik Rzewuski, z całej służby leśnej utworzył strzelców konnych z fuzyami myśliwskiemi. Otóż ze czterdzieści koni z tej jazdy przybyło do Bielska i tę złowrogą wieść o kozakach roznieśli. Komendant Troschke miał nieco więcej niż stu ludzi, a ja zwołałem na ochotnika ze trzydziestu uzbrojonych, w co można było uzbroić się, tak jak to kiedyś było w pospolitem ruszeniu. Były woźny za Rzeczypospolitej Eysmont, a niegdyś kanonier w wojsku koronnem, który w czasie świąt wielkanocnych na rezurekcyę strzelał z moździerzy kościelnych, takowe zabrał i na wysepce rzeczki przerzynającej miasto, blisko mostu ustawił i miał udawać artyleryę dla popłochu nieprzyjaciela. Z miasta całego poznosiliśmy kufry z tem, co każdy miał najdroższego i złożyliśmy w podziemiach fary.

Był to skwarny dzień lipcowy, cisza rozpaczna panowała z obawy rabunku, jak też z troskliwości o los ochotników. Wyprawa pod wodzą kapitana Troschke, uszykowała się na rynku, później postępować zaczęła na czele kawalerya śpiewając ochotnie, za nią idąca gwardya narodowa wtórowała drżącym głosem, chociaż jadąc na jej czele zachęcałem do waleczności, a piechota saska bez śpiewu szła rezolutnie. Było to już ku wieczorowi, kiedy

wyruszyła nasza wyprawa. Zrobiliśmy z pół mili marszu, kiedy kozacy widząc zbliżającą się masę wojska uciekli, zostawiając na zdobycz parę bryk, na których znajdowały się różne przedmioty i zapasy; te zwycięzcy między siebie rozszarpali, a nawet złe języki mówiły, że tam niektórzy zdobyli znaczne sumy asygnat. Widząc uciekających nieprzyjaciół, odwaga się ożywiła, ale nie było pola do popisania się z tą odwagą, jedna tylko jazda nasza dała kilka strzałów. Pogoń przekonała się, że dognać uciekających było niepodobną rzeczą; postawszy przeto z godzinę na placu boju, jako zwycięzcy około północy wróciliśmy wśród powszechnej radości. W drodze przyłączyło się do nas kilku dragonów austryackich, którzy wracali z wyprawy innego rodzaju, każdy bowiem miał zarzezanego wieprza, przytroczonego do siodła. Widok tych bohaterów, unoszących ciała zabitych nieprzyjaciół, pobudzał wszystkich do śmiechu, a że żołnierze w słowiańskim języku przechwalali się mówiąc: sem my pryszli wasz kraj oczystiti, winszowaliśmy im, że dobrego używają sposobu do oczyszczenia kraju.

Zwycięstwo nasze nie wpłynęło stanowczo na los wojny. Miasto nasze raz przez jedne, drugi raz przez drugie zajmowane było wojsko, a ja, jako prezydent miasta i komendant gwardyi narodowej, często miewałem i przykre przeprawy.

I tak, gdy przechodziło wojsko z armii francuskiej poprzedzała je rekwizycya i pewna oznaczona ilość chleba białego i innych żywności, po zniesie-

niu się z podprefektem, musiała być przygotowaną, — niemniej gdy wojsko rosyjskie miasto zajmowało, musiał być chociaż chleb razowy dostarczany. Otóż raz wszedł do Bielska z oddziałem kawaleryi rosyjski generał Langeron, a zamieszkała przy matce żona rosyjskiego majora, pani Kołomiejcow, powziąwszy ku mnie nienawiść za moją staranność dla armii francuskiej, oskarżyła mnie przed generałem, że jestem nieprzyjaznym dla Rosyan, że dla Francuzów dostarczam chleba białego i wszystkich produktów, że przyjmuję ich z wielką radością, a przeciwnie, że źle usposabiam mieszkańców przeciwko Rosyanom.

Właśnie byłem w domu i prowadziłem rozhowor z moim kochanym Petrem, kiedy odkomenderowano oddział w celu dostawienia mnie natychmiast generałowi.

Petro mi towarzyszyl, a wtenczas przeczuwając niebezpieczeństwo, wspomniałem mu, że jak będzie koło mnie bieda, aby zainteresował Hilaryona ihumenia soboru greckiego, iżby ten mnie ratował. Jakoż gdy stawiony zostałem przed dowódcą i obsypany gradem oskarżeń i przysłów nie attycką solą zaprawionych, milczałem, aż burza zwolnieje. Potem ozwałem się: „Widoczną jest rzeczą, że przez wroga mego oskarżony byłem, ale w czasach wojennych nie można być bardzo otwartym i szczerym, więc też dla dobra miasta i Francuzom muszę okazywać przyjaźń, ale że szczerze życzliwy jestem Rosyanom, tego szczególniej dowodzi, że jestem prawosławnej religii...“

— A przekonasz mnie o tem?

— Oto stoi chłop — ozwałem się — wskazując na Petra — niech sprowadzi ihumenia.

Usłuchał mnie i kazał czekać. Petro pobiegł po popa, ten rychło przybył i potwierdził słowa moje, będąc gorąco o to od Petra proszonym. Odtąd byłem w łaskach generała, aż do wymarszu.

Wśród różnych narodowości nie widzieliśmy w znaczniejszych oddziałach wojska polskiego. Raz tylko jeden przybyła kompania piechoty pod kapitanem Zawadzkim i oddział strzelców konnych pod rotmistrzem Madalińskim. Ukazanie się tego oddziału wpłynęło tak silnie na umysły, a szczególniej na młodzież, że zaraz kilkunastu zaciągnęło się do wojska, a my zrobiliśmy składkę i oba oddziały serdecznie uraczyli.

Niedługo potem nakazano pobór do wojska, gdyż postanowiono usztyftować dwa pułki w Białymstoku. Dawniej, a następnie później, pobór rekruta przez Rosyan był to sąd ostateczny. Kiedyśmy potrzebowali zdać 30 rekrutów, musieliśmy w nocy schwytać 90 ludzi i tych, skuwszy w dyby, trzymaliśmy w areszcie, a następnie pod mocną strażą odwoziliśmy do Białegostoku do komisyi rekruckiej, przytem zbierało się znaczną składkę na dussery dla komisyi i doktora, bo bez tego cały kontyngent byłby zbrakowany. Jeśli zdarzyło się, że wszystkim trzydziestu ogolono przód głowy, t. j. jeżeli przyjęto ich do wojska, byliśmy radzi, a ci, co byli uznani za niezdatnych, z ogoloną tylną częścią głowy wracali z radością do domu, ale towarzyszyły

im w drodze płacz i rozpacz kobiet, które zostawiły synów, mężów lub braci i z którymi się nigdy widzieć nie miały nadziei, bo szli na 25 lat w obce strony. W roku zaś 1812, rzecz się wcale inaczej miała. Popisowi ciągnęli losy, temu co miał iść do wojska przypinano kokardkę, z którą wracał już na wieś, a gdy ich wezwano do marszu, ani jednego nie brakowało.

Skończywszy rekrutowanie w początkach miesiąca sierpnia, trzeba było zabierać się do obchodu imienin cesarza Napoleona, który odbyć się miał 15 t. m.

Zapewne dawno w Bielsku, a przynajmniej za mojej pamięci, nie było tak świetnego obchodu. Bal publiczny dla wszystkich zarówno stanów, dotąd u nas nieznany, fajerwerki, muzyki, wojskowe parady i wesołość całego pospólstwa rozlewały uciechę ogólną. Zawczasu powiat i miasto złożyło się na festyn dla ludu. Porozstawiane były beczki z piwem, wódką i z zakąskami, a ziemianie przechadzali się wśród ochoczego ludu. — A że na dzień 16 sierpnia, to jest w dzień świętego Rocha przypadły moje imieniny, spotkała mnie nazajutrz łaska publiczna i wydano na moją cześć śniadanie obfite, czem do łez rozrzewniony byłem.

Przy końcu wszakże tego miesiąca wypadkiem tylko uszedłem nieszczęścia, któremu uległo kilka osób z tej kategoryi. Wspomniałem już, że nadleśny Rzewuski z puszczy Białowieskiej uformował kawaleryę ze strzelców leśnych. Przydybał on gdzieś nieostrożnych 30 dragonów rosyjskich, zabrał ich

do niewoli i odstawił do generała Regnier, gubernatora białostockiego, a o wypadku tym zawiadomił mnie listownie. Nie będąc, jak widzicie z tych pamiętników, tęgim do pióra, uprosiłem sekretarza magistratu, aby odpisał. Ten będąc zapalonym patryotą, w liście do Rzewuskiego nazwał go bohaterem, prawdziwym synem ojczyzny i utrzymywał, że gdyby dużo podobnych mu było, najezdcy (jak ich nazywał) za Uralskie góry przepędzeniby zostali. Ten list podpisałem nie czytając, i przesłałem przez umyślnego...

W parę tygodni sam Rzewuski chłopską furmanką, czyli stójką do mnie wstąpił, a furmanka na rynku stała przed domem. Uścisnęliśmy się serdecznie, wdaliśmy się w pogadankę. Wtem z wojska, które nadciągnęło do Kleszczel pod dowództwem generała Sakena, wpadł do miasta oddział kozaków. Jeden z nich zapytał chłopa, kogo przywiózł?

— Kuryera polskiego — odpowiedział i wskazał palcem na moje mieszkanie. Właśnie wtenczas spojrzałem przez okno, i z przerażeniem gest chłopa zobaczywszy — „uciekaj“ krzyknąłem na Rzewuskiego. Wybiegł przestraszony na podwórze, ale niestety nie potrafił się dobrze schować. Wtem wyszedłem przed dom, a jeden z kozaków zapytując — „a gdzie kuryer“? — zamierzył się batem, chcąc mnie uraczyć tą łakotką.

— Nie śmiej — zawołałem gromko — ja ruski czynownik.

Na ten wykrzyknik sam bat opadł, a na zapy-

tanie, gdzie kuryer, oświadczyłem, że był przed chwilą u mnie, ale poszedł na drugą stronę rynku do domu zwanego Szałagojdą. Rzucili się ku wskazanemu miejscu kozacy. Sądziłem, że przez ten czas Rzewuski uciec potrafi, i żeby był sunął przez parkany, byłby się ocalił, ale on schował się był w słomie nad pułapem stajni znajdującej się, jak się o tem dopiero w lat parę przekonałem, kiedy jeden z moich synów, zamiast wróblego gniazda, wykręcił worek ze 300 złotymi przez niego schowany. Tymczasem Rzewuski trzymając papiery w ręku, zrzuciwszy poprzednio mundur, umieścił się w kąciku pod żłobem. Kozacy po przetrząśnieniu wskazanego domu, wrócili nazad, rozbiegli się po dziedzińcu w ogrodzie, i jeden z nich dostrzegł Rzewuskiego, uchwycił za kołnierz, i niestety przywlókł go do pokoju, w którym oficer oczekiwał. Łatwo każdy domyśli się, w jakiem byłem przerażeniu, kiedy rzuciwszy okiem na papiery dostrzegłem na czele list przezemnie podpisany. Oficer papiery opieczętował i zabrał Rzewuskiego. Starałem się go podpoić w nadziei, że list mój wycofam, ale nie mogłem go do tego kroku nakłonić. Uściskałem tylko z rozrzewnieniem mego biednego przyjaciela. Niedługo zniknęli z oczu, a ja przez całą noc rady sobie dać nie mogłem, tak mnie ten wypadek przeraził i zdawało mi się, że już mnie prowadzą do niewoli.

W trzy dni po tym wypadku, wchodził na rynek miasta oddział ułanów rosyjskich. Jeden z mieszczan zapytany, gdzie mieszka komendant gwar-

dyi narodowej, widząc mnie stojącego przed domem, zawołał:

— Panie Sikorski, bo się o pana pytają.

Jakoż zbliżywszy się kapitan, zapytał:

— Wy się nazywacie Sikorski?

— Tak, odezwałem się.

— A skąd wy rodem?

Poznawszy po akcencie, że był Małorosyaninem z połtawskiej gubernii, odezwałem się:

— To może pan jesteś mój krewny.

Chwyciwszy tę myśl pokrewieństwa oburącz, bo domyślałem się powodu przybycia, zacząłem od podejmowania najhojniejszego, nie szczędząc wina. Wtem rzekł mi do ucha: „utikaj!“ (uciekaj). Wyniosłem się przeto cichaczem na podwórze, a nauczony doświadczeniem, nie zatrzymywałem się w obrębie mieszkania. Lubo byłem dość okrągły, przesadzałem parkany i płoty jak młokos i tak zapalczywie pędziłem, żem w kilka minut przebiegł drogę, która wymagała pół godziny zwykłego chodu i skryłem się w kopy świeżo pokoszonego potrawu. Tam wsunąłem się głęboko i dopiero po paru godzinach siedzenia, wyjrzałem, a niby oglądając kośbę, zawezwałem jakąś przechodzącą dziewczynkę i posłałem po mego Korniłowicza. Jeszcze czas niemały upłynął na czekaniu, i ten mnie się bardzo dłużył, nakoniec przybył mój wierny sługa, opowiadał, że dom mój był otoczony, że ułani wszystkie przetrząśli kąty, że kapitan pienił się ze złości i krzyczał ciągle: nie ujdiot! — ale że potem oddział wymaszerował i że teraz spokojnie. Nie dowierza-

łem jednak, nie wróciłem tak rychło do domu, bo nawet w nim nie nocowałem. Następnie dowiedziałem się, że generał Saken cofnął się ze swoim korpusem, i wtenczas dopiero spokojnie odetchnąłem. Ale mój szwagier, Piotr Kondratowicz, który był głową w Kleszczelach, został z tego interesu wziętym, również jak wiele innych osób, i w kilka miesięcy wrócił z ogromną brodą, wycierpiawszy się wiele. Nieszczęśliwy Rzewuski, jeden tylko z wziętych do niewoli, rozstrzelany został.

Nie tyle mieliśmy strachu, ile podziwienia, jak mogły się u nas tak często ukazywać oddziały rosyjskie, kiedy główna armia francuska szła na Moskwę, a na straży naszej stał silny korpus Szwarcenberga. Złe wszakże języki utrzymywały, że Austryacy byli z Rosyą w porozumieniu, i że zamiast skałek mieli drewienka i że za każdem zbliżaniem się Rosyan, usuwali się bez oporu. Pomimo to, taką wiarę mieliśmy w niezwyciężonego Napoleona, że nawet nikt nie przypuszczał, aby los inaczej miał zdziałać, i byliśmy zupełnie pewni zwycięstwa. Nasi współobywatele, a jak my zwaliśmy konfederaci, pojechali do Wilna na sejm litewski, i czekaliśmy niecierpliwie na stanowczą organizacyę. Młodzież cisnęła się do wojska. Wszystko zdawało się nasze marzenia popierać i gdy jesień się skończyła, byliśmy pełni najlepszej otuchy. Zimą dopiero doszły do nas złowrogie wieści, że Napoleon, który po świetnej bitwie pod Możajskiem zajął był Moskwę, takową opuścił i cofa się nazad. Mrozy tęgie i śniegi niezmierne spadły już w miesiącu listopadzie i to

nas niepokoić zaczęło o lekko ubranych Francuzów, nieprzywykłych do północnego klimatu. Tymczasem coraz dochodziły smutniejsze przepowiednie, a nawet zapewniano nas, że Napoleon w Smorgoniach odjechał armię i wrócił do Paryża. Ale chociaż dotąd niczego złego nie przypuszczaliśmy, musieliśmy się przekonać, że jest w tem nieco prawdy, bo żołnierze często bez broni i przyodziani w różne ubiory, aby się od mrozu uchronić, nam się ukazywali. Lazarety przepełniały się, a nawet w prywatnych domach trudno było wszystkich poprzemrażanych pomieścić. Byli to wprawdzie marodederzy, bo oddziały większe były w należytym porządku. Niepodobna było nie widzieć, że szczególniej ubrania żołnierze gwałtem zabierali. Słowem już upadła nadzieja, dotąd nienaruszona, i boleśnie przewidywaliśmy niepowodzenia.

Pamiętam jak dziś, ostatniego Francuza, który z orężem w ręku przejechał przez miasto nasze. Był to maruder, ubrany w pyszne futro; miał parę koni w sanie paradne zaprzężonych. Krzyczał dużo, zapowiadając przybycie znacznego oddziału francuskiego, ale widać krzyczał dlatego, aby ujęty nie został, bo zaraz nazajutrz wpadł silny oddział ułanów pod dowództwem generała Langerona, i odtąd już tylko wojska rosyjskie widzieliśmy w przechodach. Żołnierze zapytywali nas:

— Kuda wasz Napoleon! ubit czerez dwoch gienierałow Hołod i Moroz.

I mieli słuszną racyę, że zginął od klimatu ostrego. Widać z tego, że i najmędrszego geniusza plony

giną marnie z woli Przedwiecznego. O ile zapamiętałem z łaciny alwarowej, to tu się najrzeczywiściej sprawdziło: „Homo proponit, Deus disponit“.

Nim skończę rok 1812, na wieczne czasy pamiętny i tak żywo tkwiący w umyśle moim, jak pewnie wszystkich współczesnych, muszę jeszcze opowiedzieć jedną anegdotę, pochodzącą z zajmowania się mojego czasowo obowiązkiem pocztmistrza. Nie mogę dziś powiedzieć z pewnością, ale mi się zdaje, że to się działo w początkach 1813 r.; zresztą ta data nie przeszkadza. Zjechało się na moją stacyę naraz aż czterech kuryerów, a tu zabrakło koni, noc nadchodziła straszna zamiecią śnieżną. Konieczność zmusiła ich do noclegu, tembardziej, że w wojsku wówczas skupionem w tym punkcie, każdy z nich miał znajomych, a może i przyjaciół. Zebrało się przeto około 15 oficerów. Dnia tego pocztylion i furman mój Adam (później w lat parę dziedzic poznał go jako swego poddanego i kazawszy go zakuć w dyby, gwałtem mi odebrał), spił mi się w najgorętszym czasie, gdy przebiegi poczt tak bardzo nagłe były, a że po pijanemu stawił się hardo, tak mnie rozjątrzył, żem go zbił na gorzkie jabłko. Po tej koniecznej egzekucyi, ochłonąwszy z gniewu, serdeczny mi się go żal zrobił, — bo w ogólności był to wierny i tęgi chłop. Wracając do oficerów, hultajka między nimi rozpoczęła się na dobre po herbacie, obficie przesyconej rumem. W miarę jak rozgrzewały się rozprawy, przybyło szampańskie. Wciągniony do kompanii, uważałem, że w zapale rozprawiając, każdy

VIII.

Od r. 1812 do 1816. — Kłopoty pamiętnikarza. — Śmierć żony. — Szkoły w białostockiem. — Urzędnicy.

Cały prawie rok 1813 przeszedł na oczekiwaniu Mesyasza. W głowach nam nie mogło się pomieścić, by Napoleon, który tyle razy pokonał silnych i skoalizowanych nieprzyjaciół, nie został znowu zwycięzcą i nas nie pocieszył.

Wszelkie klęski, jakim uległa jego wielka armia, składając na mróz, wierzyliśmy jeszcze w związek szczery Austryi z Francyą i pierwsze wygrane cesarza pod Lützen i Bautzen [1]) wzięliśmy za niezawodną przepowiednię pomyślności. To też przegranej następnie bitwie pod Lipskiem i śmierci księcia Józefa Poniatowskiego zupełnie nie dawaliśmy wiary, bo każdy chętniej w to wierzy, czego sobie życzy. Tymczasem marsze wojsk rosyjskich do Niemiec nie ustawały, rząd się ustalał, a rzeczywistość

---

[1]) 2 maja i 20 maja 1813 r. nad Prusakami i Rosyanami. Bautzen-Budyszyn w Łużycach o 8 mil od Drezna. Bitwa pod B. uważana jest za arcydzieło strategii. Walczyli w niej między innymi wspomniani w pamiętniku generałowie Langeron i Szczerbatow. K. B.

tem twardszą się stawała, że liczne kwaterunki i dostawy tak ubożyły mieszkańców, że narzekania były ogólne.

W domowych moich interesach coraz smutniejsze nastawały czasy. Choroba żony, która w r. 1812 szczęśliwie ją ominęła, wzmogła się w roku 1813. Musiałem ją wywieźć w odleglejsze strony Litwy, gdzie zamieszkiwał doktór Pilecki, który poprzednio wiele jej ulgi przyniósł [1]). W domu wzmagał się nieład. Było już pięcioro dziatek, z których najstarszego wysłać musiałem do szkół do Białegostoku, bo w Bielsku były tylko szkoły początkowe, czyli parafialne. O moją w skarbie należność na próżno pukałem; tłumaczono się czasem wojennym. Wszakże z początku jak mogłem, brakom się opędzałem, ale to już źle, kiedy się biedzie opędzać potrzeba. Zewnętrzne oznaki zamożności utrzymywały się, ale bliżej rzeczy znający, widząc chylenie się mojej gwiazdy, stawali się obojętnymi, a nawet nieprzyjaznymi. Horodniczowie już więcej nademną władzę rozpościerali, lubo nieraz przywoływałem ich do porządku bodajby kijem. Już i u urzędników Sądu ziemskiego, musiałem wyzywaniem na pojedynek lub postrachem wywoływać poszanowanie, którym tak hojnie poprzednio szafowali. Tymczasem w zamiarach moich wszystko na wspak się działo i do upadku chyliło.

Miałem przyjaciela mego Pawłowskiego, który

---

[1]) Jan Pilecki, lekarz grodzieński, i lekarz kąpielowy w Druskiennikach. Są jego artykuły w „Ondynie druskiennickich wód" (1844—6). K. B.

wtenczas, kiedy zajmowałem się antrepryzą miewał ze mną rozliczne z dostaw obrachunki. Należało mi się od niego około trzech tysięcy rubli. Żeby go postawić w możności oddania mi tej sumki, starałem mu się wyrobić „podrad“ w r. 1812[1]). Że zaś był mi nieraz użyteczny młody człowiek Adamski, który z początku był u mnie pisarzem, ale rozmaitymi obrotami zebrał mały kapitalik, przeto zaproponowałem Pawłowskiemu, aby mu wyznaczył udział. Poszedł za moją radą, i jęli się bardzo czynnie do zapełniania magazynów. Adamski z początku nie objawiał przed nikim, że miał udział, ale mówił, że jest tylko pomocnikiem Pawłowskiego, któremu przyrzekł na każde zawołanie dostarczyć kapitału pietnaście tysięcy rubli, gdyż rzeczywiście miał obszerny kredyt. Z całym też zapałem skupowali produkta, wyznaczając termin krótki do wypłaty. Ale gdy termin płacenia nadszedł i gdy Pawłowski zewsząd z podmowy Adamskiego był naciskany, a skarb także z jego namowy wypłaty spóźnił, Pawłowski przypomniał Adamskiemu przyrzeczenie, na co mu Adamski oświadczył, że za miesiąc dostarczy mu kapitału. Zażądał jednak, aby Pawłowski zawarł z nim spółkę do połowy i zawarował, że na przypadek śmierci jednego ze wspólników interes cały przechodzi na zostającego przy życiu. Pawłowski zawarł tę umowę, ale zamiast ocalenia, znalazł zgubę, Adamski bowiem tak pokierował każdy interes na niekorzyść, że Pawłowski uznany

---

[1]) „Podriad“ (ros.) dostawa, liwerunek. K. B.

został przez władzę jako opóźniający się w dostawie. Wierzyciele hurmem na niego rzucili się, Pawłowski prędki i zgryźliwy, do rozpaczy przywiedziony, życie sobie odebrał. Wtenczas Adamski sam na siebie wziął cały interes i tak potrafił nim kierować, że wszystko złe ustało, a sam zrobił znaczny fundusz. Ja jednak ostatnie moje nadzieje straciłem, bo nic nie mogłem uzyskać na satysfakcyę mej należytości. Pawłowski nigdyby nie przyszedł do tej smutnej ostateczności, gdyby szatańskie przebiegi Adamskiego, z zimną krwią obrachowane, nie doprowadziły do samobójstwa. Wogóle Adamski podawał się za wielkiego przyjaciela Pawłowskiego, a kiedy katastrofa wypadła, płakał i rozpaczał, słowem wszystkich oszukać potrafił. Dorobił się później znacznego majątku i jest podobno teraz urzędnikiem wybranym przez obywateli. Broń nas, Panie Boże, od takich przebiegłych ludzi! A ja myśląc, że los mój poprawię tych ludzi ze sobą połączywszy, stratą niespodziewaną przyciśniony jeszcze bardziej zostałem.

Sobolewski przerażony katastrofą Pawłowskiego, zaczął mnie naciskać i chciał zająć mój majątek w tradycyę, i nie wiem na czemby się to skończyło, gdyby poczciwy Petro, obruszony jego postępowaniem, nie przyniósł mi ratunku.

Bez mojej wiedzy wyrobił u włościan wsi należących do miasta tak obfitą składkę, że ta wystarczyła na opłacenie prawie połowy długu, i tę tak delikatnie doręczył, że tylko serdecznie podziękować mogłem. Że zaś należność moja ze skarbu wy-

nosząca 30.000 rb. wątpliwości nie podlegała, zrobiłem układ urzędowy, że resztę za lat pięć zapłacę. Ta ofiara włościan tem więcej mnie zobowiązywała, że była dopełnioną w dniu moich imienin, i że z każdej wsi delegowany składał mi podzięki za tyloletnie urzędowanie bezpłatne z uszczerbkiem moich funduszów i zapewniał, że byłoby to im krzywdą, gdybym się wzdragał od przyjęcia tego upominku. Ze łzami podziękowałem wszystkim i uraczyłem ich sowicie, a sprężynę tego czynu, którego łatwo mogłem domyślić się, uściskałem z całej duszy...

Zjawił się i Sobolewski, który lubo wiedział o składce włościan i miał nadzieję, iż część należności odbierze, utrzymywał, że przybył tylko na imieniny, a że nalegał na wypłatę, usprawiedliwiał się tem, że mając dużo dzieci, jest w potrzebie wydostania wszelkich funduszów na ich edukacyę. Po pokwitowaniu, dla dania mu większej pewności, pozwoliłem mu obciążyć zastrzeżeniem moje nieruchomości, a lubo udawał, że to jest zbyteczne, jednakże tej formalności dopełnił. Od tego czasu poznałem lepiej mych przyjaciół; miłość moja do Petra podwoiła się, a z Sobolewskim nie było już dawnej serdeczności.

Tak uspokoiwszy się nieco w interesach, stałem się więcej energiczny, boć to jak kłopoty głowę obsiądą i widzi człowiek, że się wszystko urywa, to staje się obojętny i kark przed biedą uchyla. Zacząłem zatem skrzętniej chodzić koło gospodarstwa. Bóg dał dobre urodzaje i lubo wszystkiego

miałem 3 włóki gruntu, ale dobrego, więc sprzedałem ze 40 korcy pszenicy. Sprzedałem też jeden z domów, nabyłem znowu partyjkę koni i nie źle mi się poszykowało. Uorganizowałem się w domu, wziąłem w kluby wydatki, synów pooddawałem do szkół i jakoś znowu dźwigać się począłem. Jedynie ciągła choroba żony była okropną plagą. Co lato musiałem ją wywozić na kuracyę; jesienią i przez zimę była przytomną. Kuracya odbywała się w odległej stronie Litwy i trwała do r. 1816, w którym zdawało się, że do zdrowia powraca. Ale powiadają, że robaki tak ją podbijały w piersiach, że oddech zatamowały, i właśnie w tym roku opuściła ten padoł płaczu i przeniosła się do wieczności w miesiącu czerwcu. Umierała pod Kamieńcem Litewskim z całą przytomnością. Darowała mi wszystkie winy, dzieci serdecznie błogosławiła i na moich rękach życia dokonała. Uczułem tę śmierć boleśnie, bo dzieci straciły matkę, a ja czułą zawsze żonę. Pochowałem ją uczciwie i złożyłem w grobach cerkwi unickiej w Kamieńcu.

Ze smutkiem wróciłem do domu, tem bardziej, że za powrotem przedstawił mi się widok dzieci pozbawionych macierzyńskiej pieszczoty, bo je nawet w chorobie kochała i pielęgnowała. Musiałem urządzić gospodarstwo, jak to mówią „księże“, to jest przyjąłem służącą na gospodynią i jej poruczyłem zarząd domu i opiekę nad młodszemi dziećmi. Już dwóch synów miałem pomieszczonych w szkołach białostockich, córkę wysłałem na edu-

Nie mogłem nigdy odżałować, że mi się nie udało w Bielsku otworzyć szkoły powiatowej. System oparty na rózgach, udzielanych co sobota w szkole parafialnej, przyczyniał się tylko do tego, że dzieci przez cały tydzień zdrowe, w sobotę zapadały na różne choroby, które leczyć trzeba było, zanosząc za niemi instancyę, a czasem być świadkiem jak im plagi wyliczano. Nie mogąc otworzyć szkoły powiatowej, usiłowałem nieść pomoc prywatnym pensyom dla chłopców i dziewcząt i niektóre z nich dość pomyślnie utrzymywały się. Raz zatrzymałem wracającego do kraju Francuza dla nauki dzieci, ale na nieszczęście, był to dobosz, który zamiast nauki znał się na bębnieniu w skórę chłopców naszych. Pomiarkowawszy się potem, pomogłem mu do podróży, aby z kwitkiem opuścił miasto nasze.

Młodzież, która kończyła nauki, zwykle opuszczała strony rodzinne, a szczególniej ci, którzy kończyli kursa w uniwersytecie wileńskim, zostawali bowiem duchownymi, profesorami, doktorami, lub urzędnikami. Ci zaś, co tylko szkoły miejskie pokończyli, zostawali bliżej gniazda. Do wojska szła

---

znakomitego słownika łacińsko-polskiego i Michał profesor pisma św. w uniwersytecie wileńskim, podróżnik, archeolog, badacz języków słowiańskich. Ks. Jakób Falkowski to zacny założyciel instytutu głuchoniemych w Warszawie. Tomasz Święcki autor głośnego „Opisu starożytnej Polski", oraz „Historycznych pamiątek znakomitych rodzin i osób dawnej Polski" wydanych po jego śmierci z dopełnieniami Juljana Bartoszewicza. Walenty Skorochód Majewski, zasłużony archiwista, badacz Słowiańszczyzny, sanskrytu i języków wschodnich. K. B.

najczęściej młodzież niechętna do książki, ale byli i tacy, co następnie w wojsku się kształcili i doszli do wysokich stopni. Z niższych klas wielka część poszła na oficyalistów prywatnych i niektórzy dorabiali się majątków. Miasto zaś na miejsce wybyłych rekrutowało się z urzędników tu potem osiadłych, z byłych wojskowych, z mieszczan ościennych, którzy przez ożenienie się najczęściej osiadali, z włościan wolnych i z rozmaitych przybyszów. A że pomimo wszelkich wysileń w utrzymaniu przywilejów, miasto nie było wstanie odeprzeć wdzierających się żydów, powoli i oni zaczęli miasto zaludniać przez różne u rządu protekcye, a lubo nie mogli posiadać nieruchomości, znaleźli środki dla obejścia prawa, i brali zastawy i codziennie ich liczba zwiększała się.

Na targi czwartkowe czekali wszyscy z utęsknieniem, bo w ten dzień robiono zapasy na cały tydzień. Włościanie jesienią zwozili całe barany porżnięte bez skóry, którą oddzielnie kuśnierzom sprzedawali; za 40 lub 50 groszy można bylo takiego barana kupić, co dostarczało na kilka dni obfitego pożywienia. Żyta korzec był już dobrze zapłacony po zł. 4, pszenicy zł. 6 lub 8, owsa korzec 1 zł. groszy 10, i stosunkowo inne przedmioty, przeto rzemieślnicy, lubo za swe wyroby tanio brali, ale byli w stanie opędzić potrzeby, a prawie wszyscy byli miejscowi i rzadko Niemiec który z dawniej osiadłych pozostał, — było ich tylko paru piekarzy. Przysmaki dla dzieci, jak osuszki, obwarzanki i pierniki przywozili w czwartek żydzi z Orli, a za 3 gro-

sze obwarzanek był prawie tak duży, jak mały chomont. Ogólniki zaś, czyli babki z hreczanej mąki, kołacze czyli ruskie pierogi z kapustą lub cebulą, wypiekali szczególniej Rusini.

Urzędnicy dzielili się na dwie klasy: jedni pochodzili z obywateli sąsiednich i ci byli obieralni, a drudzy jak nazywano „od korony“, przez rząd nominowâni; do tych doliczały się niższe stopnie po kancelaryach. Obie te klasy zupełnie różnią się między sobą, jedną tylko mają styczność, to jest manię tytułów. Każdy z urzędników wyborczych jest najmniej sędzią, każdy z wyższych urzędników zwie się generałem lub pułkownikiem, a młody pisarek radcą. Obieralni najmują sobie w mieście na czas kadencyi niewielkie pomieszkanie, a służący lub służąca przyrządza im z wiktuałów ze wsi dostarczonych obiady i kolacye, tak jak to bywało za staroświeckich czasów. Uchodzą za ludzi nie biorących kubanów, a jeśli na którego padnie podejrzenie, już zwykle utraca kandydaturę, — częstunek jednak chętnie przyjmują, bo to również przypomina dawne czasy.

Urzędnicy „od korony“ inaczej postępują. Częstunek przyjmują jedynie dla dania możności objaśnienia interesów, ale jeżeli się przedstawiają wtedy jakie dokumenta, to trzeba koniecznie włożyć „bumażkę“ stosunkowo do interesu. Pensyę mają nie wielką a żyć muszą wystawnie i opłacać się władzom wyższym, bez czegoby miejsca nie zagrzali. Dlatego to umieją wyciskać doskonale swoich klientów i który bieglej interesa prowadzi, nazywa się

praworny. Kanceliści w mniejszym rozmiarze chwytają za okazyę i rozmaitymi drożynami sztukają przychód, bo pensya sama nie wystarczałaby na utrzymanie się.

Wielu wszakże z majętniejszych synów szlacheckich służy po kancelaryach dla otrzymania rangi; ci przeto liczą się do kategoryi urzędników obieralnych. W naszych stronach do datków prędzej przywykliśmy, niż gdzieindziej może, bo u nas szczególniej Rusini oddawna mieli zwyczaj, że gdy przychodzili do Starszego po radę lub z interesem, bodajby kurę, lub kilka jaj zawsze w darze przynosili. Ja sam, jako „głowa", mając pod zarządem miasto i 5 wsi, bez żadnego wymagania podobne miałem dochody. Ale nasi koronni urzędnicy nie przestawali na zwyczajowym datku, ale z wysoko wyrachowaną dyplomacyą ciągnęli za każdy interes, jak mogli, najobfitsze kubany.

Tak, jak w sposobie życia, tak też w ubiorze te dwie klasy urzędników rozdzielały się. Jeszcze szlachta, średnia i pomniejsza, tak, jak mieszczanie, noszą starożytne polskie ubiory, — najmożniejsza bowiem szlachta od dawna zcudzoziemczała pod tym, a może i pod innymi względami. Urzędnicy koronni wszyscy przybywali albo w mundurach, z których niechętnie się wyzuwali, albo w francuskich skórach, a niestety i młodzież nasza już poszła za ich przykładem i we frakach wygląda jak szczygły. My jeszcze bawiliśmy się grą w maryasza, ćwika lub drużbarta, a młodzież zaraziła się od obcych jakimś piekielnym faraonem i z zagranicy sprowadziła grę

bastona. My zawodziliśmy mazura i chcielibyśmy podziwiać tańczonego przez młodzież mazura lub krakowiaka, ale ona już zaprowadziła jakieś anglezy, kotyliony i matredury — panie odpuść grzechy! Młodzi też zaczęli wzdychać za urzędami i stopniami oficerskimi, to też na ich formę wszyscy się ukształcali, tembardziej, że każdy oficer lub urzędnik chwalił się, że miał tam gdzieś, może na księżycu, dużo poddanych dusz i chciał uchodzić za magnata wysoko wykształconego. Dziewczęta nasze często na ten lep łapane były i wychodziły za wojskowych, a dusze wtenczas poddane przepadały, i biedaczki musiały koczownicze życie prowadzić, ba! często zdarzało się, że musiały wracać do domu i ni to panny, ni wdowy, wiodły życie w fałszywem świetle, a nawet były takie, co zaludniały seraje stolicy...

IX.

Po roku 1816. — Utworzenie Królestwa Polskiego. — Poszukiwanie dokumentów szlachectwa. — Ogólne uwagi o życiu nad stan, pijaństwie i t. d.

Wiadomo jest wszystkim, że w r. 1813 wojska rosyjskie poszły na zachód i tam, połączywszy się z Anglią, Prusami i Austryą, walczyły z różnem szczęściem z Napoleonem. Złe wieści nie trafiały jednak do naszego przekonania — wciąż spodziewaliśmy się tego, czegośmy sobie życzyli. Los na przekór nadziejom naszym, rozstrzygnął na stronę sprzymierzonych i Napoleon w dniu 9 kwietnia 1814 r. złożył koronę na rzecz syna swego, a sam oddał się na łaskę sprzymierzonych. Wyznaczono mu naprzód na rezydencyę wyspę Elbę z małym pocztem gwardyi. Wiadomość o tym wypadku, gdy już nie mogła ulegać wątpliwości, zmusiła nas do rezygnacyi. Pocieszano nas jednak, że monarchowie zjadą się na kongres do Wiednia i tam, po upokorzeniu gwałciciela swobód i pokoju, jak zwano Napoleona, wprowadzą na ten świat porządek, z którego wszyscy zadowoleni będą. Uwaga całej Europy zwróciła się na zgromadzenie tak solenne monarchów. I my

nadstawialiśmy ucha na wieści, które w zmianach tysiącznych do nas dochodziły. Mieliśmy nadzieję we wspaniałomyślności cesarza Aleksandra I., bo mówiono nam, że choć Polska zostanie z Rosyą połączona, ale używać będzie praw dawnych i że nie będziemy przez obcych rządzeni, ale jak „bracia“ Rosyanie będziemy Polakami, swobodnymi pod protekcyą tak silnego i współbratniego państwa.

Narady trwały, ciągłe spory przeciągały się. Dochodziły nas o nich wieści, przeplatane opisami festynów i zabaw. Wtem w miesiącu kwietniu 1815 roku doszło do nas, że Napoleon w dniu 20 marca wylądował we Francyi i pomimo, że wojska przeciwko niemu wysłali Burboni, osadzeni na tronie w osobie Ludwika XVIII, to te nietylko z nim bić się nie chciały, ale się z nim połączyły tak, że bez wystrzału Burboni ustąpili z Paryża, a Napoleon napowrót został cesarzem francuskim. Kongres rozbiegł się szybko i znowu wojska u nas bardzo przechodzić zaczęły. Nasze przewidywania pomyślności z traktatu wiedeńskiego prysnęły, a nowe oczekiwania zajęły ich miejsce. I po stu dniach panowania Napoleona wieść smutna nadeszła, że w dniu 18 czerwca miała miejsce straszna bitwa pod Waterloo, że wojska francuskie zostały pobite, że sprzymierzeni na nowo weszli do Paryża, że Napoleona wywieziono gdzieś na koniec świata na wyspę św. Heleny, i że korpus rosyjski, pod wodzą generała księcia Woroncowa przez trzy lata będzie pilnował Francuzów, żeby się nie wydostał więzień z oddalonej wyspy i na nowo psoty nie zrobił. To wszystko nie

tak prędko się stało, jak powiadam, ale się tak stało. Znowu monarchowie powrócili radzić w Wiedniu i tym razem przyszło do ostatecznej umowy [1]). Co do nas, zostaliśmy, jak dawniej. Z Księstwa Warszawskiego, po obcięciu poły, zrobiono kurtkę i nazwano ją Królestwem Polskiem.

Wmówiono w nas, że kiedy cesarz jest zarazem królem polskim, to może i nas kiedy połączy, a lubośmy paszporta brać musieli do Królestwa jak zagranicę, ale sformowano wojsko litewskie, stanowiące oddzielny korpus pod zwierzchnictwem Wielkiego Księcia Konstantego, naczelnego wodza armii polskiej i zachowano nam język polski i prawa litewskie. Tak, jak we wszystkich rzeczach ludzkich głową muru przebić nie mogąc, musieliśmy poprzestać na tem, co nam losy zgotowały i pozbywszy się mamideł ułudnych, zaprządz się do twardej rzeczywistości.

Po ustaleniu wrzawy wojennej i politycznej uznałem, że nadeszła dla mnie najstosowniejsza pora do wydobycia mego funduszu, który mógłby mnie i familię ocalić od doskwierających potrzeb. W tym celu, lubo i na następne lata zostałem obrany głową, podziękowałem za ten honor, bom chciał cały czas poświęcić na popieranie własnych moich interesów.

---

[1]) Autor pamiętnika myli się: sprawę polską całkiem załatwiono już przed powrotem Napoleona z Elby. Nie dziwimy się jednak p. Rochowi, kiedy aż do dni dzisiejszych historycy, a nie tacy jak on pamiętnikarze, również mylnie rzecz przedstawiali. Obszerne wyjaśnienie podałem w mojej książce: „Utworzenie Królestwa Kongresowego w roku 1815“. K. B.

Wskutek tego zamiaru musiałem długi czas przesiedzieć w Białymstoku, gdzie poruszyłem wszystkie sprężyny, aby zainteresować Rząd gubernialny moim interesem. Skoro tylko posłyszałem o przejeździe monarchy, wszędzie spieszyłem i wciskałem się z prośbami, ale na nieszczęście interes szedł w odwłokę i nie mogłem doczekać się pomyślnego skutku. Wprawdzie otrzymywałem rezolucye, ale zawsze w nich był jakiś kruczek i odkładano wypłatę za ruski miesiąc. Tymczasem przejazdy i zabiegi narażały mnie na koszta, w gospodarstwie każda nieobecność tworzyła ubytki, a chociaż stary Korniłowicz dokładał całego usiłowania, aby wszystko szło w należytym porządku, ale bez oka pańskiego trudno konia utuczyć. Częste wojny między gospodynią a starym sługą stały się powodem i skarg i ubytków. Dzieci także pozostawione bez mej opieki, nie chcąc słuchać nadzoru im niemiłego, psociły ze swej strony i po każdej przydłuższej nieobecności zbierało się dużo spraw do sądzenia.

Interesa kiedy idą pomyślnie, to się jak cudem załatwiają, kiedy zaś rwać się poczną, to coraz nowe za każdym krokiem mnożą się kłopoty. Dobrze dawne przysłowie mówi, że jedna bieda nie dokuczy, ale one w gromadzie jak wilki na Gromniczną chodzą. Nieraz takie zachodziły wypadki, że na sporządzenie obiadu brakło funduszu. Kiedym był głową, to częste akcydensa zasilały kuchnię, a teraz nieraz żałowałem, żem i urzędu nie przyjął, i nic pomimo tego w przeprowadzeniu interesu nie postąpiłem. Doszło do tego, że nabyty za dobrych czasów fol-

warczek pod miastem, zwany Klementynowem, z młynem i karczmą zastawiłem żydom.

Wszakże nigdy Opatrzność nie opuszcza człowieka, który stara się ratować i przed dojściem do ostateczności wytęży swe siły. Jakoż Sobolewski czując, że dawniej zanadto mnie dosiadł i chcąc wskrzesić dawną zażyłość, przyszedł mi w pomoc nową pożyczką, widział bowiem potrzebę użycia forszusu silniejszego do wygrzebania swej należności. Musiałem mu jednak oddać dom i własność moją w tradycyę, jeżeli za lat dwa kapitału nie zwrócę. Po namyśle przyjąłem ten warunek, zbyłem niektóre kawały gruntu zbyt odległe, i tak załatałem gwałtowniejsze dziury, a szczególniej przygotowałem fundusz na edukacyę dzieci. Miałem tę pociechę, że się dobrze uczyły i przywoziły zaszczytne cenzury. Raz pamiętam, byłem w Białymstoku w czasie egzaminów, na których moi chłopcy nie najgorzej się popisywali. Wysłałem ich zaraz po egzaminie, a sam cenzury ich odebrać postanowiłem. Jakoż przywiozłem je z sobą do Bielska, a gdy starszy syn przybiegł na powitanie mnie, zawołałem groźno: „A smarkacze! takie to macie brzydkie cenzury? Darmo tylko kaszę zjadacie w szkołach. Otóż masz z geometryi kiepski, w języku łacińskim kiepski“... Wszakże chłopiec bez zmięszania się odezwał: „Musi się ojciec kochany mylić, przecież stopni w naukach nieoznaczają wyrazem kiepski“... Ucałowałem chłopaka, zachęcając go, aby coraz lepsze zyskiwał stopnie. Całusy z mej strony nie często się zdarzały, dlatego chłopak tem większą uczuł radość po udanej burzy...

Chociaż to miało miejsce w późniejszym czasie, przy sposobności muszę nadmienić, że jeden z moich przyjaciół zaczął mi wyrzucać, że niedosyć karcę dzieci, że starszy w czasie wakacyj zamiast pomagania w gospodarstwie, bąki zbija i bawi się tylko czytaniem, że jest zarozumiały i głowę sobie tem nabił, że ponieważ już dostał promocyę do 6 klasy, to już na człowieka wygląda. Pobudzony do dania nauki młodemu, zawołałem starszego i zapytałem go, czy mu lepiej w szkołach, czy w domu? — Zadanie na pozór nie było trudne do rozwiązania, wiedziałem bowiem, iż na każde wakacye z radością przybywał, a mniej ochotnie wracał do szkoły; — ile to było wtedy czułych pożegnań! Jednakowoż namyślał się i spoglądał mi w oczy, chcąc myśl zapytania odgadnąć, a na nalegania w końcu oświadczył: „Ojcze, lepiej w szkołach, bo“... — zapewne chciał dodać: tam korzysta się z nauk. Ale nie dałem mu kończyć tłumaczenia i zawołałem: „Jakto? to taka wdzięczność za wysilania ojca, który ostatki łoży na waszą edukacyę, kiedy ci lepiej pomiędzy obcymi, niż w domu rodzicielskim?“ Wypaliłem mu wtenczas bardzo dotkliwą oracyę, ale o małom tego nie żałował, bo chłopak czuł, że jakkolwiekby odpowiedział, zawsze nie uniknąłby gorzkiego wyrzutu, tak, że się rozchorował i kilka dni łóżkiem się bawił.

Pod owe czasy nastała potrzeba legitymowania się ze szlachectwa przed deputacyami gubernialnemi. Chłopcy dorastali, a już przeważał system, że szlachectwo otwierało drogę do przyszłej karyery. Nadto

nieszlachcic opłacał podatek pogłówny i inne ciężary ponosił, od których szlachcic jest wolny. Co więcej, nie idzie na rekruta do wojska, i może otrzymywać paszporta na czas długi, kiedy nieszlachcic otrzymuje tak zwane „płakatne“ paszporta na czas krótki, i to za kaucyą, że pogłówne regularnie opłacane będzie. Takie jest bowiem urządzenie, że największe ciężary spadają na chłopa i mieszczanina, a żadne im nie służą prerogatywy, przeciwnie zaś, szlachcic nic nie płaci i ma otwarte pole do wszelkich korzyści, tak w cywilnej, jak w wojskowej służbie. Jako troskliwy o los dzieci, lubo wiedzialem, żem szlachcic, ale nie wiedziałem, jak dojść do tego, aby stosowne wynaleść dowody. Wiedząc jednak, że metrykami mogę udowodnić moje pochodzenie aż do przodka, który z Witebskiego województwa schował się na Podlasie po zaburzeniu wynikłem przy śmierci Św. Jozafata, a domyślając się, że i tamten musiał pochodzić z Pińskiego, bo tam jest wieś szlachecka, z której wszyscy mego nazwiska wyszli, postanowiłem tam się udać.

Przybywszy do Pińska rozpytałem się gdzie leży ta wieś gniazdowa. Musiałem nająć szuhaleję, to jest rodzaj łodzi kursujących po wodach i odnogach Prypeci i innych rzek, tu obficie rozlanych i dostałem się do gniazda rodziny na wyspie położonego. Wysiadłem przed karczmą, to jest miejscem głównem narad tej osady. Było to w dzień niedzielny. Żyd arendarz przyjął mnie z poszanowaniem, bo i postawę miałem „z Waszecia“ i domyślał się przez instynkt temu narodowi właściwy, że gdym przybył

na wysepkę tak oddaloną od wszelakiego traktu komunikacyjnego, to mam jakiś interes, a przeto przyczynię się do zwiększenia jego dochodów. Jakoż zasiadłszy za stołem, kazałem sobie podać kwartę miodu pitnego i poprosiłem arendarza, aby ze mną wypił szklankę tego napoju. Za tę grzeczność zaprosił mnie do alkierza i przysiadl się na moją prośbę, trzymając w ręku szklankę dla formy. Po długich rozprawach przystąpiłem zwolna do interesu, oświadczając mu, że pragnąłbym zapoznać się z pryncypalnymi mieszkańcami tegoż co ja nazwiska. — „Ho! co to trudnego“ — odrzekł, zawołał na Ryfkę i kazał jej, aby pobiegła prosić wójta, bo tu jeden wielmożny pan przyjechał i chce się z nim widzieć. Jakoż Ryfka, zarzuciwszy chustkę na głowę, pobiegła, i niedługo przybył tęgi mężczyzna przybrany w sukmanę, czyli świtę czarną, a tem różniący się od chłopa, że był przepasany pasem czerwonym, a chłopom nie godzi się nosić tylko czarne pasy. Powitałem go uprzejmie, poprosiłem siedzieć. Z wszelką swobodą, bez żadnej ceremonii, usiadł blisko mnie i kiedym mu oświadczył, że przybyłem poznać moich imionników, a może i krewnych, a zarazem zaprosiłem go do częstunku, wtenczas podał mi spracowaną dłoń oświadczając, że rad z poznania rodaka, i że postara się, o ile to od niego zależeć może, wskazać najkrótszą ku temu drogę. Szła powoli gawęda, do której się mieszał arendarz, o ile mu na to czas pozwolił, bo się często wydalał na przywitanie gości przybywających z nabożeństwa z pobliskiego kościoła. Wójt zawezwał do nas kilku

przybyłych, z którymi mnie poznajomił, a ja odezwałem się:

— Panowie bracia, darujcie, że was utrudzam, bo przybyłem coś dowiedzieć się o mojem pochodzeniu.

Opowiedziałem wszystko, cokolwiek wiedziałem o przodkach i prosiłem o radę.

— Widzisz waćpan — rzekł do mnie jeden — to dla nas trudno objaśnić. bo my to wiemy o tych tylko, co na miejscu mieszkają, i o ich dziadach i pradziadach, bo widzisz waćpan, że cała izba, to prawie wszyscy szlachta tegoż nazwiska, ale o tych co dawno w świat wyszli, nic nie wiemy, bo od nas dużo ludzi rozłazi się po świecie i bardzo do prawdy podobne, że i przodek waćpana ztąd wyszedł do województwa witebskiego. Ale jest w Pińsku pan Jakób, niegdyś pisarz za Rzeczypospolitej, on to najlepiej objaśni, bo to człowiek nauczny.

Chcąc w izbie z całym ogółem się zbratać, kazałem dać parę garncy wódki i zaczęliśmy rozhowor ogólny. Przyjęty byłem z radością za swojaka, uściskałem dużo rąk, oczernionych dymem chat kurnych, ale nie mogąc żadnej wyciągnąć wiadomości, odesłany zostałem jednogłośnie do pana pisarza, lubo byli i tacy, których przodkowie opowiadali o tej zawierusze witebskiej, ale szczegółów nie wiedzieli. Serdeczność przy kieliszku była wielka, bawiliśmy się po staropolsku do wieczora, a pan wójt obiecał mi towarzyszyć do Pińska. Przez wójta nazajutrz przedstawiony zostałem panu pisarzowi, a gdym mu szczerze opisał całe moje położenie, zawołał: „A po-

każno waszmość paznogcie czy nie jesteś czasem szewcem, lub garbarzem", ale gdy ujrzał niespracowane dłonie, dodał: „Ach, przecież niema tu głównej przeszkody do dochodzenia szlachectwa, boś nie deregował od godności szlachcica". Spisał wszelkie wiadomości podane, kazał zaliczyć fundusik na poszukiwania, obiecał udać się do sądu i po archiwach przeszukać, i zobowiązał mnie, abym doń jutro po obiedzie się zgłosił. Pan wójt trącił mnie i dodał szeptem, że pan pisarz, jako staroświecki do szlachectwa po szlachecku powinien być zaproszony. Jakoż poszedłem za tą radą, udaliśmy się do Mordka na piwo pod pozorem, że tam obszerniej pomówimy. Jakoż u Mordka zebrało się i dużo urzędników, a między tymi archiwista i ten ostatni oświadczył, że rzeczywiście jest w aktach sprawa witebska. Niedługo oddalili się pan pisarz z archiwistą, wkrótce jakieś ślady się wynalazły, a pobyt mój kilkudniowy za pomocą worka i wina u Mordki był skuteczny, bo wróciłem z potrzebnymi dokumentami do domu, a następnie powoli przy pomocy grosiwa przyznano mi szlachectwo [1]) w deputacyi białoruskiej. Tak więc

[1]) Zabiegi p. Rocha stanowią świetny przyczynek do dziejów t. zw. legitymowania się ze szlacheckiego pochodzenia. Nie przecząc jego szlachectwu, widzimy jednak, jak łatwo przychodziło „przy pomocy grosiwa" znaleźć sobie szlacheckich przodków. Stąd to owe żarty, jakich sobie dawniej nie żałowano z „legitymowanej szlachty". Znajdujemy je nawet w druku, jak np. w „Ramotach" Wilkońskiego. Zdarzało się naodwrót, że rody, rzeczywiście stare, ufne w niczem niepodejrzane swe szlachectwo, nie starały się o legitymacyę, przez co potomków swoich nieraz narażały na niedogodności i poważne szkody. Jeszcze

zaspokoiłem los dzieci moich z tej strony i udowodniłem braciom łykom, że z kołtunów pochodzę pińskich, takie bowiem przezwiska istnieją na oznaczenie mieszczan i szlachty.

Na nowe wybory znowu przedstawiony byłem na kandydata, i teraz już się nie wzdragałem i zostałem „głową“, bo mi się bieda dała we znaki, boć jakkolwiek nie wielkie wprawdzie, ale częste były dochodziki, które przyczyniły się do utrzymania życia. Jakikolwiek był stan moich finansów, dobry rezon i wesołość, jakoteż koncepta mnie nie opuszczały. W całym powiecie, w mieście i w gubernskim rządzie byłem kochanym Rochem. Musiałem wszakże ograniczyć gościnność domową, aby nie uledz pod kłopotami i nie zwiększać już i tak groźnych długów. Pomimo pozornej wesołości, niejedną noc od zmartwień spędziłem bezsennie.

Oj! bieda nam, boć to prawie ogólna słabość polska, że nie umiemy się kalkulować. „Kiedy jest, to szelest“, Polak zuch i do korda i do szklanki; zawsze liczymy na szczęśliwe obroty interesów, aż gdy przyjdzie zawód po zawodzie, kiedy nasze rachuby nie dopisują, wtenczas opanowywa nas zwątpienie. Prawda, że Polak czasem bywa mądry po

---

przed 10 laty jedna z najstarszych senatorskich, lecz nielegitymowanych polskich rodzin, musiała starać się o uznanie swego szlachectwa. Tak więc wskutek legitymacyi dużo narodziło się nowej szlachty, a ubyło nieco prawdziwej. W spisach urzędowych rosyjskich często spotykać się zdarza uwagę przy nazwisku: „ze szlachty rodowej (iz potomstwiennych dworjan), lecz nielegitymowanej“. K. B.

szkodzie, ale to rzadko. I tak przepadły bardzo znaczne domy pańskie i szlacheckie. Za dawnej Rzeczypospolitej, magnat miał zawsze prawie na zawołanie starostwa, a jeśli miał silną kontrpartyę, to też potrzebował szlachty. Szlachcic więc wymowny chociaż swoje nadszarpał, to od magnata był wspomagany. Ale ze zmianą porządku, po upadku kraju, butność się przeżyła, a źródła dochodów dawnych powysychały, a stąd mnóstwo majątków runęło i namnożyło się sprzedaży przez exdywizyę. Bardzo wielu prawdziwych karmazynów zbiedniało i ogołociało. Pomimo wszakże tak wielu smutnych przykładów, zawsze największą wadą naszą jest próżność i wystawność; chcemy wszyscy uchodzić za bogatszych jak nimi jesteśmy, i gościnność starodawną opłacamy niedostatkiem ukrytym i długami. Codziennie widzę, jak n. p. szlachcic kupuje wieś za sto tysięcy, a ledwo ma gotówki połowę tej sumy. Zaraz oblicza korzyści, które mu przyjdą w pomoc do oczyszczenia majątku. Możeby to i nastąpiło, gdyby nie to, że stosownie do pozornego, a nie zaś do realnego majątku, zaprowadzać poczyna parady, kocz, konie i porządki domowe. Tymczasem obrachowane korzyści zawodzą, następuje zniechęcenie i nieraz pan, huczny niedawno, z kijkiem ze swojej wsi pieszo wychodzi. Niemiec z tym samym kapitałem, kupuje o połowę mniejszy majątek, zamiast kocza sprawia wózek, a bez parady, zajadając pieczone kartofle i butersznity, oprze się wypadkom niespodziewanym i zwolna przyjdzie do coraz wię-

kszego majątku. Na parady i gościnność nic nie wyda i powoli zaokrągla fortunę swoją.

Zdarzają się i pomiędzy nami niektórzy tak postępujący, ale to rzadko. Tacy też źle od sąsiadów są widziani i znosić muszą nazwę inwentarza bez rogów.

Zaraza zwykle idzie z góry. Na magnatów zapatruje się bogatsza szlachta, za nią biegnie mniejsza. Za stanem szlacheckim kroczą w naśladownictwie urzędnicy i stan miejski arystokratyczny. I te biedaki, dogadzając swoim małżonkom, występują nad możność, a urzędnicy nie mogąc wystarczyć z pensyi, łatają się łapowem. Nadymają się wszyscy, a zapewne wielu, jak ja, przepędza noce bezsenne. Mnie jeszcze to szczególniej dokueza, że gdybym był żony słuchał, nie turbowałbym się o los moich pięciorga dziatek, a dziś widząc je sierotami bez matki, robię sobie gorżkie wyrzuty i bardzo się o nie kłopoczę...

Co do drobnej zagonowej szlachty, mieszczan niższych i włościan, jest tu choroba ale innego rodzaju, a tą chorobą jest pijaństwo. Podlasianie uchodzą za oszczędnych i trzeźwych, ale to chyba gdzieindziej ta choroba jeszcze jest cięższą, bo i tu pijaństwo jest bardzo zakorzenione.

Dawniej pijaństwo to była rzecz szlachecka i wynikła z porządku politycznego, z obowiązku służenia wojskowo i z braku oświaty. Magnat skarbiący głosy szlacheckie, musiał hojnie podejmować liczne gromady i pijaństwem zagrzewać do gorliwości. Zjazdy bywały częste i również częste pijatyki miewały miejsce. Nie tylko zresztą magnaci poszukiwali klien-

tów, ale i szlachta szukała popularności przez częstunek hojny i gościnność, bez pijatyki obejść się również nie było można. Szlachta wyłącznie stanowiła stan wojskowy, a przeto z pałaców i dworów ta choroba przeniosła się do kół rycerskich i do obozowych obrad, a brak oświaty nie dozwalał w trzeźwem rezonowaniu zagustować. Przy kieliszku rozmowy były żwawsze i nawet w zgromadzeniach mniejszych bez kielicha obejść się nie było można. Wszyscy znajdowali potrzebę rozprawiania o rzeczach kraj obchodzących, a wymowa się ożywiała, serdeczność i szczerość wydobywały się na wierzch jedynie za pomocą kielichów. Samo prawo do tego dopomagało, bo szlachcic od trunków, sprowadzanych z zagranicy na swoją potrzebę, żadnego cła nie opłacał.

Po zmianie politycznej kraju, nie mogła odrazu ustać chętka do pijatyk, przy gościnnych przyjęciach w domu, przy interesach lub zjazdach jakowych. Mimo to widocznie ta choroba zmniejszać się zaczęła. Ustając u góry, zaraza coraz silniej rozszerzała się u dołu. Chłop poddany, nie miał nic swego, oszczędzać nie potrzebował, przepijał więc co tylko miał, a pan na przednowku musiał mu dawać zapomogę do wyżywienia. Arendarze żydzi umieli zachęcać do pijaństwa — i chłop dopiero podpity ulgi w swojej okropnej doli doświadczał, jak mówi ruskie przysłowie:

Kohda ja pijan
to kapitan,
a jak prespiusia
to i świni boju sia.

Ile razy zastanawiam się nad przedmiotem, która z klas społeczeństwa jest najszczęśliwsza, wnoszę podług mego zdania, że zamożnego włościanina. Dla mnie zresztą niezbity stanowi dowód mój kochany Petro. Miał on czterech synów i dwie dziewuchy. Nauka dzieci mało go kosztowała, bo diak z cerkwi nauczył je czytać na cerkiewnych księgach i po polsku; trochę umieją pisać i na tem się wszystko skończyło. Dzieci od młodości najpierwszej pomagały ojcu w gospodarstwie tak na roli, jak przy koniach i bydle. Mając oprócz gospodarstwa udział w moich przedsięwzięciach, Petro obrócił pieniądze na kupno gruntów i placów we wsi rodzinnej Augustowie; synów, w miarę jak dorastali i żenili się, poosadzał na gospodarstwach, a dziewuchy powydawał za raźnych i rządnych chłopaków z tejże wsi. Ich ojczyzną jest wieś Augustów i miasto Bielsk, — o resztę świata nie dbają. Ograniczywszy się skromnemi potrzebami, zawsze zapracują na nie. Petro jest szanowanym i lubionym w całym powiecie. Nikomu grosza nie winien, zawsze jeszcze ma zapas na potrzeby nieprzewidziane, nie zna żadnego nad sobą pana, a powinności dla rządu uiszcza bezsprzecznie. Czyż to nie jest rodzina szczęśliwa?

Na tem się urywa pamiętnik p. Rocha Sikorskiego. Może pisał go dalej, ale reszta rękopisu zaginęła. Za kontynuacyą przemawiałoby wstawienie rozdziału drugiego, napisanego w 20 lat później.

Jeżeli jednak weźmiemy na uwagę, że jeszcze przed wstąpieniem na tron cara Mikołaja nastały już ciężkie na Litwie czasy, a po r. 1831 prześladowanie przybrało potworne rozmiary, można przypuszczać, iż p. Roch obawiał się pisać o tem, na co patrzał i przerwał swój interesujący pamiętnik. *K. B.*

Woj. i Miejska Biblioteka Publiczna w Białej Podlaskiej

SPIS RZECZY.

str.

Przedmowa 5

I. Początki praktyki handlowej p. Rocha. — Jego stosunki rodzinne. — Wspólnicy. — Część Podlasia przechodzi pod panowanie pruskie 13

II. Podlasie. — Bielsk. — Ludność i jej zwyczaje . . 24

III. Czasy Pruskie 38

IV. „Historya mojej konkurencyi“ 46

V. „Moje ożenienie“ 64

VI. Pierwiastki pożycia małżeńskiego 75

VII. Rok 1812 90

VIII. Od r. 1812—1816.—Kłopoty pamiętnikarza.—Śmierć żony. — Szkoły w białostockiem. — Urzędnicy . . 106

IX. Po roku 1816. — Utworzenie Królestwa Polskiego. — Poszukiwanie dokumentów szlachectwa. — Ogólne uwagi o życiu nad stan, pijaństwie i t. d. 119

IVD
Sik